

Isabelin, 24.10.1982 rok.

6

Kwestia: Co było najcięższe w obozach.

Wypowiedzi: Zosia Andruszkiewicz, Jadzia Hoppen, Tania /Stasia/ Gortyńska, Hanka Siemianowska.

Zosia Andruszkiewicz: Ja uważam, że najstraszniejsze było w obozach nie sam głód, te pluskwy, ten smród, ta nędza, która była, ale przeżycia moralne. Upokarzanie człowieka. Człowiek tam był traktowany jak zwierzę, gorzej niż pies. To było najgorsze. Szczególnie dla kobiet. Były to upokorzenia bolesne. One doprowadzały nie raz do tragedii kobiet. Kobieta uczciwa była szczególnie prześladowana, do najgorszych prac posyłana, do najcięższych robót. Była prześladowana przez wszystkich. Kiedy kobieta któremuś z mężczyzn się podobała, a ona nie przyjmowała jego względów, była szczególnie prześladowana. A już najgorsi ci przedstawiciele władzy. Było często, że kobieta nie wytrzymywała tego i poddawała się. Ale wśród naszych kobiet, Polek tego raczej się nie spotykało. Skłonne były do tego Litwinki, Estonki, Łotyszki. I było wśród nich właśnie dużo stukaczek.

Aniela: Estonki raczej nie. U nas było dużo Estonek. A czy mogłabyś mówić bardziej o sobie. Czy u ciebie był jakiś taki bardzo ciężki moment?

Zosia: Ciężki moment. Bardzo dużo było takich ciężkich momentów. Przedewszystkim widziałyśmy jak na moich oczach innych maltretowano, bito

Aniela: Czy w obozach?

Zosia: Tak, w obozach. Ja temu nie mogłam zapobiec, musiałam na to patrzeć. Kiedy zastrzelono kobietę, którą bardzo kochałam, moją przyjaciółkę ze Lwowa, to było straszne. Straszne przeżycie dla mnie. Widziałyśmy te biedne dzieci, które były przywożone lub urodziły się już tam. W jakiej nędzy były te dzieci, jak rozpaczały strasznie. I to upokorzenie człowieka na codzień. To upokorzenie moralne człowieka - to było najgorsze, co mogła być. Jak mówię, głód nie jest straszny, bo człowiek może się z tym pogodzić, ale jak ciebie wciąż od ostatnich słów wyzywają codzień, jak za nic ciebie mają i wiecznie: "na waszych kościach zrobimy to albo tamto, na waszych trupach pobudujemy"

Aniela: Czy mówisz o obozach ITL czy o specobozach?

Zosia: To były obozy bytowe.

Aniela: Czy w specu było lepiej?

Zosia: Tam pod pewnym względem było lepiej. Jakoś szanowałyśmy jedna drugą i tutaj z nami więcej się liczone, bo my wyżej moralnie

6

Zosia: /cd/. łączyliśmy od nich wszystkich. Uważam, że może nie byłoby tam tak straszne życie, gdyby była uszcziwość, która obowiązuje każdego człowieka. Nawet naczelnik obozu był sprawiedliwym człowiekiem natomiast wykonawcy starali się skrzywdzić człowieka pod każdym względem. Wyżywienie: tu się właśnie zaczynało, że zanim dotarło coś do tego więźnia, ostatecznego, to już właściwie nic nie zostawało i dlatego tam była taka nędza, bo, niestety, nikt tam nie szanował nas. A w obozach tych niejedyn z nich był upokorzony, bo t. każdy widział przed sobą jakiegoś przedstawiciela, czy to był Rosjanin, Polak, czy z innej narodowości. To byli ludzie już na jakimś poziomie, ludzie uczciwi, ludzie solidni. Jednak pomimo wszystko byli i dranie tam niektórzy, ale i oni trochę z szacunkiem odnosili się do nas. Prawda, wybierali na pro-rabów, czy innych pridórków, to przeważnie było błoto, to był najgorszy element, ale zdarzało się, że byli na tych stanowiskach i porządni ludzie. Przeważnie jednak był tam najgorszy element. A poza tym męka, głód, smród.

Aniela: A z pracą jak?

Zosia: Praca. Ja n.p. pracę miałam bardzo ciężką. Pracowałam w lesie. To złodziejstwo, które zawsze było, bez przerwy nas okradano. Przyjechał człowiek w sukience, to i w koszuli nawet nie został. Takie straszne było złodziejstwo. Człowiek nie był pewny, czy w tej chwili ktoś na ciebie nie napadnie, nie zamorduje. Na moich oczach zabito człowieka. Rzucają się na człowieka, kopią, biją. Ja sama takie przeżycie miałam. Całe szczęście, że gdy człowiek spotkał się z drugim dobrym człowiekiem, mądrym, solidnym, że mógł sobie porozmawiać. Szukał człowiek wśród więźniów przyjaciół. Byli dobrzy ludzie. Pomagaliśmy sobie jak mogliśmy i staraliśmy się unikać tych podłych. Okazywało się często, że można było ich uniknąć. Ale zdarzało się, że ten zły człowiek potrafił, niestety, prześladować przez lata całe. No, to ot tak.

Hanka: Komisja lekarska. Trzeba było się rozebrać do naga. Absolutnie wstępnie, nawet staniczki i figi trzeba było zdjąć. Badania polegały na tym, że któryś lekarz /nie lekarz/ z tej komisji badał w ten sposób: uszczypnął w dowolnym miejscu człowieka, żeby zbadać jakiego rodzaju są te mięśnie. To było naprawdę poniżające.

Aniela: Bardzo przepraszam, że przerwę, ale ze wspomnień własnych powiem, że po gruńcu miałam taką dystrofię, że gdy przyszedłam do lekarza, do saneczki, on kazał mi się odwrócić i spuścić spodnie. Zdurniała^{ny}, bo nie wiedziałam o co mu chodzi. A on tyl-

Aniela: /cd/. ko pociągnął skórę na pośladku i powiedział: "Niet, ona pracować nie może." Ale to nie było poniżające, to było trochę coś innego.

Tania: A moje wspomnienia z komisji. Dowiaduję się, że Polak jest w komisji lekarskiej. Przyjechał na Intę Adarycz, wolny. Miałam błąt, więc umówiłam się z lekarką, że ja pójdę do Głafiry, naszej lekarki, więźniarki. Na szczęście pozwolono nam zostać w trusikach, majteczkach. Na szczęście, bo kierują mnie, wyobraćcie sobie, do tego wolnego Adarycza. Stoję przed nim i co to mnie obchodzi jakiś tak lekarz. A on mnie się pyta: imię, nazwisko, otczestwo, nacionalność. Mówię: Polka, obrazowanie, Pyta gdzie? Ja mówię w Wilnie. A na jakim Uniwersytecie. Na takim i takim. A jacy profesorowie? A ten i ten. A co się dzieje z profesorem Patkowskim? "Patkowski zginął w czasie bombardowania Warszawy. Hm. a jak się Pani powodzi?

Ktoś pyta: po polsku?

Tania: Przez cały czas rozmowa toczy się po polsku. Tylko bardzo cichutko, bo w tej sali siedzi jeszcze 4 lekarzy. Odeszłam do koleżanek. Rozmawiamy sobie. "Swinia będzie jeśli nie da jakiejs dobrej kategorii". I rzeczywiście, dostałam kategorię trzecią, co było bardzo miłe, bo już nie poszłam na te ciężkie prace. O, taka była moja przygoda z komisją lekarską. Ale dobrze, że zostaliśmy w trusikach, bo tak wyobraćcie sobie, rozmawiać z Polakiem tak bez niczego. Później z Adaryczem zakończyła się sprawa sądem. Był aresztowany. Rozprawa była na Incie. Od nas jeździła między innymi Maryna Minkowa jako świadek, która bardzo Adarycza oskarżała. Taka śleзна żydówka była. Ruska z Moskwy. Swiadczyły przeciwko niemu.

Hanka: Na tego rodzaju komisję raz poszłam i więcej nie chodziłam. Staralam się podczas pobytu komisji gdzieś pójść, skryć się gdzieś w innym baraku. NatURALnie pokrywajemu, żeby nikt nie widział, nie wiedział gdzie jestem.

Aniela: Ale komisja dawała też pierwsz kategorię.

Hanka: Ja przez cały czas miałam pierwszą kategorię. Cały czas byłam na ciężkich robotach.

Aniela: Jabym się na takie bohaterstwo nie zdobyła.

Hanka: Całkiem nago iść na taką komisję, gdzie siedzi x osób. To takie ohydne.

Aniela: Tak, to było bardzo ciężkie.

Hanka: Będąc początkowo na budowie kolei, trafiłam do silnej bry-

Hanka: /cd/. gady, gdzie były same kubańskie kazaczki. Siłne, zdrowe, od dzieciństwa przyzwyczajone do ciężkiej pracy. Mnie było z nimi bardzo trudno. Im się zdawało, że ja nie to, że nie mogę, ale że ja nie chcę. To było okropne. I razu pewnego był taki wypadek. Bardzo często w związku z tym wzywano mnie do operów rozmaitych. Dochodziło nawet do bicia. Ale razu pewnego przyszła wiertuszek, czyli zespół platform ze żwirem. Bo to było przy budowie kolei. W przeciągu 15 minut 2 kobiety musiały rozładować 30-tonową lorę. Żadna z nich nie chciała ze mną stawać - jak to one mówiły: na naparnicę-wspólnie pracować. I razu pewnego nie miałam takiej takiej współtowarzyszki a przyszła platforma ze zmarzniętym żwirem razem z gliną. Ta platforma musiała długo stać na bocznicy, a potem ją doczepiono. Stałam sama. Jeśli wydkubałam pół metra w przeciągu tych 15 minut, to dobrze. Później stek wymyślań. A potem cała brygada i konwojenci weszli na tę platformę i nikt nic nie zrobił. I to była moja jedyna satysfakcja w tych ciężkich pracach. Przez siedem lat nie słyszałam polskiego i nie widziałam Polaków.

Aniela: Gdzie to było, te 7 lat?

Hanka: To było w miejscowości Hanowej, koło Workuty.

Tania: Gdzie to jest? To chyba nie jest za Uralem?

Hanka: Nie, to jest nie dojeżdżając do Workuty.

Tania: Nałmarju, Hanowej - to jest ta sama okolica.

Hanka: Hanowej - to jest nawet bliżej. Tam były same kobiety.

Aniela: To tam była budowa linii kolejowej?

Hanka: Tak, tak.

Aniela: Ale w jakim stanie? Przecież tam już była linia kolejowa.

Hanka: Robiono drugą linię, dlatego aby w jedną stronę mogły iść wagony z ładunkiem, a w drugą puste, t. zw. porożnik.

Aniela: Czy to daleko za kołem polarnym?

Hanka: Przed kołem polarnym.

Tania: Nie, Abież leży na kole polarnym.

Hanka: Nie, ja źle zrozumiała. Naturalnie za kołem polarnym. Tam łodów niema, tam jest tundra.

Jadzia: Ja tutaj muszę rozdzielić: najcięższy moment w obozach ITL i w obozach SPEC-u. Jeśli chodzi o obozy bytowe, to te wiertuszki straszne, na których pracując doszłam do wagi 45 kg. I zostałam sztarsznym dochodzącą. Cały czas miałam pierwszą kategorię. Ale chcę powiedzieć o innym momencie okropnym, Pracowałam wtedy na okołodku. Okołodok - to był odcinek drogowy robót na kolei. Mieszkałyśmy wtedy w dwóch małych dom-

Jadzia: /cd/. kach pod lasem, nie ogrodzonym, poprostu w lesie stojących i trzeci dom, to był dom, w którym mieszkał majster. Rzecz oczywista, że sam w jednym domku.

Aniela: Przepraszam, co to była za miejscowość?

Jadzia: To była miejscowość niedaleko na południe od Kas-ju. Było nas tam chyba 14 dziewcząt. I oczywiście zaczęły się szturmować t.zw. uchażorow, to znaczy tych różnych wojskowych, pilnujących, znajdujących się bardzo niedaleko męskiej sztrafnej kolonii. "Uchażory" nachodziły nas bez przerwy, prosząc i namawiając i temu podobne rzeczy. Wreszcie któregoś dnia zjawili się w naszym baraku po naszym powrocie z pracy, czy z łaźni - nie pamiętam, ale w każdym razie wlecieli do naszego baraku. Byli podpici, w kożuchach z rewolwerami i dla postrachu zaczęli strzelać. po ścianach. To był taki moment, że myślałam, że to już po nas. Myśmy wszystkie jak na komendę pozsuwałyśmy się na podłogę, jak materiał, pozsuwałyśmy się. Ale to była tylko taka zabawa. Potym poszli do sąsiedniego pokoju, gdzie były litwinki i tam też to samo zrobili. A potym ze śmiechem powędrowali do siebie. To było straszne. A jeśli chodzi o obóz politycznych, o SPEC-łag, to dla mnie najtraszniejszym momentem był moment, kiedy przyszedli nam zdejmować numery z pleców, po śmierci Stalina. Do tego była przygotowana sceneria wcześniej. Przed tym był bardzo ostry, wznowili bardzo ostry reżym. Ciężkie te wyganianie nas na apele, na ścieżkę. Pożg tym zamykano nas w barakach na noc na klucz. I w wigilię tego dnia pozamykano nas wszystkich. A tego dnia był bardzo upalny wieczór. Spały,my bardzo niespokojnie. Było nas 200 w baraku. I jakoś przed godziną 4-ą pobudziłyśmy się. Słyszałyśmy jakiś szum, zamieszanie na ścieżkach. Latali, gadali, psy, więc coś się stało, coś się działo. Nie wiedziałyśmy co to jest. W pewnej chwili zjawił się, kazał otworzyć drzwi do baraku, jakiś oficer. My, słysząc ten szum i zamieszanie na ścieżkach, zaczęłyśmy się ubierać, sidać na naracz. Jakiś oficer wezwał, dniewalną, spytał ile nas jest w baraku i potym oświadczył, że wszystkie, które zaczęły się ubierać, mają się kłaść z powrotem. Że o czwartej będzie pobudka i o czwartej mamy wszystkie wstać. My byłyśmy bardzo niespokojne. A on stał pod zegarem. Była chyba za 10 minut czwarta. I gdy tylko któraś z nas poniosła głowę, to tykał palcem i krzycał: "Zakroj głaza!, Zakroj głaza!"

Tania: Czy w baraku był zegar?

Jadzia: W baraku wisiał na takim słupie. W pewnym momencie wyjął scyzoryk, otworzył, zaczął nim kręcić i powiedział: "Wot eto wam prygodzitsia". Wobec tego my, w każdym razie ja i moja sąsiadka doszliśmy do wniosku, że chyba przyjdą nas ranać. No, coś z nami chyba będą robić. Ten posiedział jeszcze z 5 minut i wyniósł się z baraku, oświadczając, że dopiero o 4-j to znaczy za 5 minut będzie ~~przejm~~ podjom i dopiero wówczas wszystkie mamy natychmiast wstać. Tak się też stało. O 4-j zadzwonił gong. Przeraziło nas to latanie żołnierzy po całej zonie. W krótkim bardzo czasie drzwi otworzono, wwalili się do sali, do naszego baraku dwóch oficerów /najpierw były pro-wierka/ i kazali nam ponownie wszystkim zejść z przycz, po-ustawiać się w szeregu. Kazali dniewalnej ustawić stół. Naturalnie nikogo o niczym nie uprzedzali. Myny mieli straszne i strasznie klęli. Wreszcie siedli przy tym stole, kazali nam wyprostować się i stanąć i jeden z nich odczytał nam ukaz, w którym likwidowano ten dotychczasowy reżim w SPEC-obozech. A więc pozwolono na wizyty rodziny, pozwolono na korespondencję nieograniczoną. Dotąd było 2 razy w roku można pisać. Pozwolono na korespondencyjną naukę, na wizyty rodzin, na otwarcie baraków i na zdjęcie numerów, któreśmy nosiły. I zarządził, abyśmy stawały parami w sukniach i z buszkatami na rąku. Podchodziłyśmy parami do stolika. Jeden pytał: "Imię, otczestwo, nazwisko, statia, srok", a drugi z wielkim scyzorykiem - kazał odwracać się plecami - i tym scyzorykiem wypruwał nam numery z sukni i to samo z buszkatów. Na tym skończyła się ta historia. Tym nie mniej początek był przerażający.

Tania: Jednym z najcięższych przeżyć w okresie obozów, to było przeżycie związane z Domem Dziecka. Tak, jak mówiły koleżanki, tam był barak dzieci, małych, malutkich dzieci, tych, których matki były w tymże obozie. Przez pewien czas miałam tam błatną robotę, posadzona jako portierka przy drzwiach. Byłam równo tydzień, tam i uciekłam stamtąd, rozpaczliwie błagając, żeby mnie zwolniono na obszcze, bo to było nie do wytrzymania. Przychodziły matki i błagały, żeby się dostać do tych dzieci. A ja miałam prikaz ich nie wpuszczać. Tutaj pełen dom dziecka tych wolnych, więc mówię: "Przyjdź później". A ona mnie klnie w straszny sposób: "Żebyś nie doczekała i t.p. Wogóle wykończyłam się tam w ciągu tego tygodnia. A potem z wielkim trudem,

Tania: /ed/. słuchając takich wyrzutów jak: "co ty robisz? Idziesz na taką robotę! Tam tak ciężko, przecież idzie zing, tam jest kopanie dołów pod lazaret dla wolnych, pod szpital" - ja byłam radosną, że wyrwałam się stamtąd. Na robotach obszczych ode-
tebnełam z łopata w ręku. W Domu Dziecka było kilkoro dzieci wytypowanych, że je zabiorą. Bo kiedy dziecko miał 4 latka, to je od matki odrywano. Było takich dzieci kilkoro. Pewnego dnia byłam w zonie zajeżdża karetka pogotowia, pojeżdża po ten Dom Dziecka. Jesteśmy przekonane, że zabiorą dzieci starsze do zabrania, których matki były już przygotowane, już porobiły wyprawki, powszywały adresy tym dzieciom do koszulek, żeby jakąś łączność z tymi dziećmi mieć. Tymczasem zabrali dzieci malutkie. Matki tych dzieci były na robocie. To było straszne, gdy ten samochód odjeżdżał i wszystko, co było w obozie szło, płacząc, wyjąc za tą karetką, za tym Czerwonym Krzyżem. Oczywiście - jeszcze mi dzisiaj trudno o tym mówić /kzy w gło-
sie, głos się łamie/. Taka rozpacz. Jedno nazwisko pamiętam: Masza Jaruzalewa, taka wysoka blondynka, śliczna Rosjanka. Była wyjątkowo niska, spokojna i jej odebrano syneczka. To było bar-
dzo wstrząsające.

Aniela: Następnym tematem jest : Jakie typy prac podejmowałyście?

Jakie były dla was specjalnie ciężkie? I wogóle w prze-
kroju: jakich prac tam człowiek musiał się imać?

Które były najcięższe?

Zosia: W obozach bytowych, gdzie była to był spław drzewa, lesopowal, gdzie chodziły kobiety.

Aniela: Czy i ty chodziłaś na lesopowal?

Zosia: Oczywiście. Przez 3 lata chodziłam na te ciężkie roboty. Szło się 5 do 10 km w jedną stronę. Jeszcze w lecia to nie było tak tragiczne, ale jak przyszła zima i te ogromne śniegi, tempera-
tura niska. Trzeba było iść po 5 osób, trzymając się za ręce. Szło się piątkami. A kolumna ogromna szła do takiego lasu. Tysiąc osób szło.

Aniela: Ile taki wysz obóz liczył kobiet?

Zosia: Nas kobiet tam było około półtora tysiącam. A mężczyzn u nas było coś ze trzy tysiące, a na drugim OLP-ie 6 tysięcy.

Aniela: To były ogromne obozy.

Zosia: Tak., sąsiadujące ze sobą obozy. Tam była "bolszaja strojka". Rzeką Suchonna była płytka, więc po niej statki nie mogły prze-
chodzić, więc robiono śluzy, zwięzono rzekę.

Aniela: Żeby była spławna.

Zosia: Tak, to była praca bardzo ciężka. Było tyle ofiar. Rzeka bystra pędziła z gór. Suchonna wpadała do Pieczory., ogromnej rzeki, szerokiej. Nasza Wisła to połowa tej szerokości. Nawet nie na połowy szerokości przy ujściu. Robiono takie niby studnie drewniane. Pakowano jedną na drugą, zalewano to cementem, pakowano do tego kamienie. Nieraz wpadł tam i cieśla. Człowiek, jak tam wpadł, to już się nie urtował, już tam ginął. Bardzo wiele było takich wypadków, że wpadali i ginęli ludzie.

Aniela: Czy wśród kobiet też były takie wypadki?

Zosia: Kobiety tam nie pracowały. To była czysto męska praca. Nie było kobiet cieśli. Kobięce prace w kamieniołomach.

Aniela: Czy to było wysadzanie dynamitem?

Zosia: Wysadzanie dynamitem, kilofami, łonami. Ale przeważnie dynamitem. Kamień z tych gór. Ja też tam pracowałam. Dynamitem wysadzone kamienie trzeba było spychać z góry w dół. Na dole ustawialiśmy stosy takie. Potym przychodziły barki, lub samochody i trzeba było to załadować. To była bardzo ciężka praca. Szczególnie w rzekach w zimie.

Aniela: Jakie mieliście ubranie do pracy? Czy mieliście jakąś specjalną odzież, rękawice do tej pracy w kamieniołomach?

Zosia: Dawano nam rękawice watawane.

Aniela: A więc tylko watawane?

Zosia: Tak. Innych - nie. Czapki uszanki.

Aniela: To znaczy - nie było specjalnego wyposażenia, jakichś butów gumowych, czy coś podobnego.

Zosia: Z początku dawano nam czunie, takie kalosze związane sznurówkami. Okropnie się w nich chodziło. To byle jakie obuwie. Nigdy nie dostało się nowego obuwia, zawsze tylko stare, zniszczone, jakieś buty po żołnierzach. A w zimie wojskaki. Najgorsze było, gdy w zimie trzeba było zbierać granitowe kamienie po górskich potokach. A to wszystko było potrzebne do tej budowy. W wojskach cały czas chodzisz po wodzie. To nie, że niby zamrznięta była rzeka ale i tak mokro, bo woda też była. Przychodziło się w mokrym ubraniu, w mokrym obuwiu. A zrana snowu trzeba do pracy. Było tragicznie. I tak całą zimę męczyło się. A te lasy. Lasy wykończyły człowieka szczególnie w zimie. W lecie - to już może mniej.

Aniela: A czy moszka była tam?

Zosia: Straszna moszka, taka, że patrzeć nie można było. Ona wyjadała nam oczy. Dawali nam moskitiery, tak zwane "nakomarniki", ale

Zosia: to nie nie pomagało, absolutnie. I tutaj, gdzie ciało było trochę nagie, to tam ona się wciskała, gryzła. Strasznie dużo było tej moszki. Ale ja lubiłam las. Ciężka praca, ale ja mogłam pracować i był ten las. A na wiosnę, gdy cynga panowała, skorbut, ja potrafiłam drzewo brzozy spikować, czy osikę, czy inne drzewo liściaste, korę ściągałam i tę miazgę wydzieralam i jadłam. To zaspaka-
jało głód i dawało witaminę. I w ten sposób ratowałam siebie i swoje zęby. Bo kto pracował w innych warunkach, bez lasu, to tracił zęby i napadały go wrzody. Ja miałam tylko taką wysypkę na ciele. Różne tam dziewczęta pracowały, różnych narodowości. Dominowały jednak Rosjanki. Około 50% było Rosjanek. Ukrainek może 1/4 ~~wszystkich~~ wszystkich. Polek nie było dużo w tym obozie bytowym, w którym byłam. Kilka zaledwie.

Aniela: To znaczy w bytowym obozie były cały czas tylko kamieniołomy, las.

Zosia: Kamieniołomy, las, drogi, spływ drzewa. Tam u nas były bardzo ciężkie roboty. Ianiętam raz podszedł do mnie taki pridurek i pyta: "Dlaczego wy tak ciężko pracujecie?" "A jak mam pracować?" "Mogłybyście się z kimś zapoznać i wybyście nie pracowały". Ja mówię: "ktoby chciał dziada takiego, jak ja?" "Nnie się podobacie. Jak będziecie ze mną, to ja was urządzę w zonie". "O, nie, dziękuję bardzo. To ja już wolę lesopować". Bo wtedy w lesie pracowałam na tej służbie. "Dziękuję bardzo, ale wolę ciężkie prace".

Aniela: To było w bytowych obozach. A potem?

Zosia: Potem jak przyjechałam do Minlagu, to tam były kopalnie. Kobiety pracowały na taśmie. Ale to już nałszyżce, z obozu nie chodziłyśmy do kopalni.

Aniela: Ale wewnątrz kopalni?

Zosia: Do wewnątrz do kopalni nie wpuszczano kobiet. Kobiety potem pracowały na wykopkach, robiły drogi.

Aniela: A tyś gdzie pracowała?

Zosia: Ja przez 7 lat, bo siedem lat byłam w SPEC-żagrach, z małymi przerwami pracowałam w pralni. To była też bardzo ciężka praca.

Aniela: Bardzo ciężka praca.

Zosia: Bo 1.000 sztuk dziennie wyprać! Ale dlaczego tym pracowałam. Bo nie znosiłam konwoju. Tam się szły małymi grupkami po 40-50 osób i nakoło konwoj 5,6 osób z karabinami. Nie mogłam tego znieść. A tu ich się nie widziało. Ja pracowałam ciężko, ale mogłam pomóc dziewczętom. Bo tam nie było dużo Polek. A niektóre były głodne, nie otrzymywały paczek z domu. Tam nie można

Zosia: /cd/. było prać oddzielnie . Ale one , prydurki, przynosiły nam swoją bbelizną do prania i jakoś tam im się prało. Więc każda przyniosła to kawałek chleba, to trochę cukru, to dali jakiejś kaszy i ja w ten sposób mogłam pomagać dziewczętom. Wiedziałam, że tą swoją pracą mogę im pomóc. Zresztą znały mnie z tej strony nasze dziewczęta. Stacha t.j. Tania najlepiej zna jak to tam było. I do ostatka pracowałam w pralni. A po tej pralni byłam zupełnie wykończona. Ja do dzisiaj mamniszczony kregosłup. Ale - ja nie wiem, ja panicznie bałam się wychodzić za zonę, bałam się zimna. A pralnia - warunki straszne, makabryczne. Skroplała się ciepła woda, para unosiła się, skroplała się i padała na nagie ramiona, bo tylko w podkoszulkach się prało. Woda padała na dół i marzła. Pięty, palce u nóg mam odmrożone, nos też mam od tego odmrożony. W takich warunkach się prało. Tylko każdy raz po praniu ja wchodziłam do kotła z ciepłą wodą i kąpałam się. A jak wracałam z ogólnych to zawsze brudna byłam, bo nie było jak się umyć. I tu nie byłam głodna. A to jeszcze coś uszyłam komuś, jakieś spodnie, to na drutach coś komuś zrobiłam.

Aniela: To był ratunek, taka umiejętność szycia, wyszywanie, roboty na drutach.

Zosia: Tak jest. Ja trochę robiłam na drutach, trochę szyłam. Jak przyszłam wieczorem z roboty z lasu zmęczona, to nasi panowie przynieśli tam spodnie uszyć, bo to paczki były obszywane płótnem. I jedną, druga taka paczka i już można było uszyć spodnie. No, i za to przyniósł mi kawałeczek chleba, czy trochę mąki, czy parę sucharów ot, takie coś było. Raczej mała, ale i to się liczyło. A tym wolniaszkom swetry robiłam. Popruka szal a ja z tego sweter zrobiłam taki zielony. Ale co pociągnęłam nitkę drutem to nicoj pękają. Ja jej tłumaczę, że "Nie będziesz w tym chodziła." A ona - nie. No, to zrobiłam, a jak nakładała na siebie, to cały sweter zozłazł się. No, i nie nosiła go.

Hanka: Początkowo byłam na budowie kolei.

Aniela: Gdzie?

Hanka: Miejscowość Hanowiej. Sypanie nasypów, układanie podkładów, szyn, mocowania tego wszystkiego. To bardzo skomplikowane i ciężkie roboty.

Aniela: Ja to też znam. /śmieje się/.

Hania: Bo powiedzmy bagno tam było. Najpierw sypało się żwir, przy-

Hania: /ed/. wołony z rzeki, ciężki był, bo mokry a często był zmaznięty i trudno było go rozładować. Ale te kubańskie Kazachczki umiały wybierać sobie. Jak tylko szedł zestaw ze zwirem, one w biegu wskakiwały. Tak samo jak się brało narzędzia do pracy /tam się mówiło "instrument"/ - mnie się zdawało, że wszystko jedno, jaka łopata, a okazywało się, że nie. A jeśli chodzi o zestaw materiałów na nasypy, też był różny: był żwir, był piasek, była glina.

Aniela: Ta glina, która czepiała się łopat.

Hania: Ale przeważnie nie, bo był mróz. Pracowało się po 12 godzin od zmiany do zmiany, nie licząc drogi w jedną i drugą stronę. Po powrocie z pracy, to jeszcze wywoływano nazwiska, przy wejściu do obozu, tak jak i przy wychodzeniu, gdy konwoj przyjmował. Trzeba było powiedzieć: imię, otczestwo, nazwisko. A gdy już konwoj przyjął, to "przedzał" krok, w lewo, krok - w prawo, uwaśa się za ucieczkę i konwoj stosuje broń bez uprzedzenia". Pamiętam, jak jednego razu któraś tam ze współtowarzyszek powiedziała w ten sposób: "szag w lewo agitacja, szag w prawo prowokacja, przyżok w wierzch szczytajsia pobieg". To było przedwiośnie, rozopy. "Kto to powiedział?" Naturalnie nikt się nie przyznaje. "Wystąp!" Każda się boi, bo to grozi zastrzeleniem. Więc "Padnij, powstań! Padnij, powstań" w to błoto.

Aniela: Ale solidarnie nikt nie powiedział.

Hania: Nie powiedział. I tak przeszło. Trzy takiej pracy pracowałam 3 lata. Następnie 2 lata byłam przy kapitalnym remoncie kolei. Wymiana szyn, podkładów.

Aniela: To już było trochę cięższe, chociaż wymiana, nośzenia szyn...

Hania: Noszenie, dźwignia szyn. To jeszcze nie najgorsze. Najgorsze to dźwiganie podkładów. A mnie było specjalnie trudno, bo jestem nie wysoka. A kozaczki kubańskie były wszystkie rosłe i ja przeważnie musiałam iść z tyłu, więc cały ciężar spadał na tego najniższego. To było okropne - to noszenie tych podkładów.. Przypominam sobie, że kiedyś już po wymianie tych szyn trzeba było je zebrać i odwieźć wagonetką na stację. Zebrałyśmy tak jak były i potem na dworcu trzeba było je odnieść na wyznaczone miejsce. To było tak jak przejście przez szeroką ulicę. Nie usłyszałam komendy, kiedy było powiedziane "rzucić". Miałam nogę wystawioną do przodu i tutaj mi ta szyna upadła. Zarzucono mi, że to umyślnie. Ale tutaj kazaczki były solidarne i powiedziały, że nie wolno tak

6

Hania: /cd/. mówić.

Aniela: Słę kość nie była zdruzgotana.

Hania: Nie, bo ja te buty zawsze miałam za duże. Miałam 40 nr. Ponieważ nam dawano 2 zmiany bielizny t.j. koszulkę i majtki

Aniela: Majkę i trusy, tak?

Hania: Tak, tak. Miałam na sobie jedną zmianę a drugą koszulkę zawijałam na jedną nogę a drugą nogę zawijałam reformami. I na to wkładałam buciki. Więc to trochę oszabił, uderzenie. Mam taką gułę właśnie w tym miejscu, więc myślę, że to może od tego, bo na tej samej nodze. Ale wówczas brygadzysta, gdy te zaczęły mu wynysłać - mówi, że jeżeli nie chcę stracić nogi - bo ja przypadkowo trafiłam na ten odcinek szranki kolejowy. A był taki ustrój, że jeżeli ktoś trafił z jakiegoś obozu do szpitala, to później musiał z powrotem trafić do tego samego obozu. A w międzyczasie wszystkich politycznych przeniesiono do innej miejscowości. A tam ulokowano bołtunów to jest tych, którzy siedzieli za gadulstwo i kryminalistów.

Aniela: 10-ty punkt. Tak?

Hania: Za wyjście za obóz. Nawet chory jeżeli wyszedł. Później po zakończeniu wojny dostawało się puszkę konserw grochowych na dwie osoby, więc chory, nie chory włókł się. Jedna właśnie powiedziała, że jedynk te konserwy amerykańskie są "dobre". I odsiedziała 7 lat. Zostawało jej 3 lata, i dołożono jej znowu 3 do dziesięciu lat. Później była jeszcze jedna taka, która powiedziała, że mechanizacja niemiecka jest lepsza od naszej, to znaczy radzieckiej, bo to była rosjanka - i też dostała za to 10 lat. Takie były przepisy. Mnie nie chcieli tam przyjąć, bo ja miałam 15 lat wyroku.

Aniela: Piętnaście lat! A w którym roku dano ci ten wyrok?

Hania: W 1944.

Aniela: Rzadko wtedy były te piętnastolatki.

Hania: Byłam wzięta z grupą, ze sztabem wołyńskim. Były 2 wyroki śmierci, były po 20 lat, 25 lat, 15 lat i jedna osoba, chłopak piętnastoletni dostał tylko 5 lat.

Aniela: W jakim czasie był ten sąd, w jakim miesiącu?

Hania: To był październik 1944 rok.

Aniela: To ciekawe, bo ja n.p. byłam sądzona też z grupą sztabową, ale w maju 1945 roku i nie było wyroków wyższych niż 15 lat katorgi.

Hania: U nas były.

Aniela: To trochę zależy od okresu.

Hania: I od rejonu.

Zosia: To zależy od tego jak kto się bronił. Jak wszystko mówił, to dostawał wielkie wyroki. A jak starał się, jak nikogo nie wydał, dawano wyroki mniejsze.

Aniela: Jak się nie przyznał, to dawano mniejsze wyroki.

Zosia: Tak. Jak się nie przyznawał, to chociaż świadkowie mówili wszystko, to ten wyrok był mniejszy. Ja do niczego się nie przyznawałam. Nie, nie, i nie, do niczego.

Hania: Ja się do niczego nie przyznawałam, nikogo nie wydałam, bo szef kontrywywiadu to był ich człowiek. Gdy sztab został ujęty poszłam do niego zapytać się - to było w Łucku - co ma robić młodzież. On odpowiedział: "A ja nie ja i chata nie moja". Róbcie, co chcecie". I później, po jakimś czasie zostałam aresztowana. Stach był wcześniej wzięty. Ale, wracając do moich przeżyć - nie przyjęli mnie do tego obozu i dlatego trafiłam na ten odcinek kolejowy, gdzie byłam 2 lata.

Głos: Gdzie to było?

Hania: Na stacji Nieniec /Niency to tak zwani, samojedzi/. Ponieważ ze szpitala nie chcieli mnie przyjąć, to ci, co się chcieli wydostać na ten odcinek kolejowy - bandyci, mężczyźni /bo dotychczas byłam w żeńskim obozie/ nie chcieli mnie tam przyjąć. Więc co trzeba zrobić? Zamordować ją, to wtedy nas tam przyjmą. I mało brakowało a byłabym tam zamordowana, bo przegrali mnie w karty już. A przegranego, oczywiście - wiadomo. To tak kilka dni trwało, bo z dużymi wyrokami nie mieli prawa tam trzymać.

Aniela: A dlaczego byłeś w szpitalu?

Hania: Miałam rękę złamaną.

Aniela: Przy pracy?

Hania: Tak, przy pracy. Początkowo mi nie wierzyli. Bo to było pęknięcie kości łokciowej. Poszłam do lekarza po powrocie z pracy. On mnie wziął tutaj, w nadgaestku i mówi: "Ruszać możesz?" Mówię, że mogę. No, to nie złamana. Poza tym gdyby była złamana ręka, tobyś tak wrzeszczała, że wszyscy by pouciekali, a ja mówię: "Každy inaczej reaguje". On śmieje się.

Aniela: Czy po wyjściu ze szpitala po tym złamaniu ręki była zmiana kategorii?

Hania: To nie było to. Nie odrazu. Nigdy nie miałam zmienionej kategorii. Chodziłam na te prace ogólne i procowałam

Hania: /cd/. lewą ręką. I w związku z tym nie wyrabiałam normy. Pó-
niej, po jakimś czasie, chyba po roku zrobił mi się tutaj
poniżej łokcia taki mały guziczek, jak groch. Nie bardzo
mi to dokuczało. Byłam już wtedy na tym odcinku kolejkowym.
Trzeba było przynieść węgiel. W związku z chorobą nerek przez
jakiś czas pracowałam jako selektorka, to znaczy trzeba było
przez cały czas trzymać skuchnię^a przy uchu. Zrobiłam to w ten
sposób, że zawiesiłam słuchawkę na jakiejś szmatce a ja mogłam
sobie coś robić. Miałam nocne dysurie. Wszyscy myśleli, że ja
nie śpiam zupełnie, bo ja na każde wezwanie byłam. Tam nie
było dzwonek, tylko wyzywano okokotek, to znaczy odcinek dło-
gowy. I na każde wezwania trzeba było się odzwiać. Miałam bar-
dzo lekki sen. A im się zdawało, że ja nie śpiam nigdy. Bo
w dzień nie spała. Nie było dniewalnej, więc ją zastępowałam.
I dzienną i nocną. Tak mi się jakoś udawało. I potem z tego
"groszku" zrobiła się "fasolka". Poszłam do lek-pomu. Powie-
dział "To róża. Trzeba mnie izolować". Róża - dobrze. Po kil-
ku dniach rękę mi rozniosła. Już grozi gangrena, już robi się
sina. Ten sam Lek-pom dostał jakieś sanie i zawieźli mnie do
szpitala. Trafikam do tego samego lekarza, który daw^ał mi zwol-
nienie. I dopiero wtedy okazało się, że ja miałam pęknięcie
kości. "Dziwne, powiedział lekarz, żeby człowiek, który ma zła-
maną rękę powiedział tak, jakby go to zupełnie nie obchodziło.
"Zdaje mi się, że nam złamaną rękę, że nam pękniętą kość".
Dobrze, że w sam raz mnie przywieziono. Przecięto rękę w dwóch
miejscach. Nie było pościeli. Materac wypchany włórami i koc.
Po tej operacji nałożono mi, owszem, tampon. Ale ropy było już
tak dużo, że przez koc i przez ten materac, przez dziury prze-
ciekała na obie strony. W związku z tym i to, że chorowałam
na nerki, po wyjściu ze szpitala, po wyleczeniu tej rany -
Zresztą były propozycje, abym zaczęła tam z lekarzem kombi-
nować. Jeden lekarz, koreańczyk powiedział: "Durnaja! Nie umie-
jesz żyć w łagiere. Tak i podochniesz." Pójdiesz na obszczyje."
I tak było. Minał ten okres, trzeba było mnie wyrzucić ze szpi-
tala, bo nie wolno było trzymać dłużej. I wtedy zaczęły się
targi między tym okokotkiem a szpitalem. Powiedział, że nia-
da robotników, a tam byli potrzebni, jeśli mnie nie przyjmą
I właśnie przez ten przypadek trafikam na okokotek. Tam byłam
przy kapitalnym remoncie, gdzie później był ten wypadek z nogą.
I on mi powiedział, ten brygadzysta, że jeżeli ja /potym po-
żałowałam tego/ że jeżeli ja nie chcę stracić nogi, to nich od-

Hania: /cd/. razu wracam do osady, gdzie są skoszarowani robotnicy. Bo jeśli ja tego nie zrobię, to stracę nogę. Więc początkowo skakałam na jednej nodze, potem opierałam się na pręcie. Ale to był okres ciepły, a po drodze była jakaś łożajka, więc zdjęłam ten but i wsadziłam tam nogę. Możliwe, że tam była jakaś borowina czy coś takiego. Później powoli, powoli jakoś doszłam do miejsca zamieszkania. A było to około 5 km. Później, jak już siedziałam na pryczy - bo poszłam do lekpoma, ale jego nie było, tylko ci jego sanitariusza, pomocnicy - więc dostałam jodynę i wyjedynowałam nogę. Wówczas przychodzi naczelnik odcinka kolejowego i: "Dlaczego... it.d. Jeśli to nieprawda., to się policzymy." I proszę sobie wyobrazić, że ja nie miałam ani jednego dnia zwolnienia, że zaraz na następny dzień poszłam do pracy, jakgdyby nic. Dla mnie to jest cud, że nie zemdląłam z bólu. Zresztą dotąd jest na nodze taka gula. No to jednak było jakieś zwichnięcie. Ale dzięki temu, że ja ruszałam. Bo jednej z koleżanek też upadł na nogę taki mały kawałek i ona ponad rok miała tę nogę obrzękniętą i ciągle miała zwolnienia. A mnie jakoś przeszło.

Aniela: To ja miałam szczęśliwszy wypadek, bo był^u cieżką i siekierą rozrąbałam sobie but i palec.

Hania: To też powiedziano, że umyślnie?

Aniela: Nie, nie. Na szczęście nie posądzono mnie o to. To było na robocie. Poprostu ześliznęła mi się siekiera z drzewa. Nieśliśmy bardzo dobrego majstra, a właściwie jednego z oficerów NKGB, ale jakoś bardzo przyzwoitego człowieka. I on nawet przyszedł potem do baraku i pytał: "NO, kak, majster?" On nie mówił per ty, tylko "majster". Ale to szczęśliwie, dostałam parę dni zwolnienia i kość była cała, więc się zagoiło. To było na miejscu, w zonie, więc nie musiałam nigdzie iść.

Hania: W końcu się doszukano, że tam jest jedna polityczna, więc zabrano mnie do innego obozu, zamkniętego. Kobiety były oddzielnie, mężczyźni oddzielnie.

Aniela: Czy to ciągle był ITŁ?

Hania: To były wciąż jeszcze bytowe obozy. Ale ja byłam na tych ciężkich, dlatego, że tam nie były same kobiety.

Aniela: A potem?

Hania: Potem trafiłam do cegielni.

Aniela: To jest za deszczu pod rynną.

Hania: Ponieważ byłam specjalistą kolejowym - bo tam, w cegielni wożono glinę za pomocą wołów, z cegielni do tej fabryki, bo

Hania: /cđ/. to była naprawdę duża fabryka. Ale przez jakiś czas by-
łam też przy wykopach gliny. Glinę wysadzało się dymanitem, bo
była tam wieczna zmarzlina. Bryłą mniej więcej były - czy ja
wiem- jakieś 30 na 40 cm., tak, jak zostały wysadzone. Potym
je rozbijało się, pakowało na furgonetki i wiozło do fabryki.
Tam był ogromny piec, na który rzucało się tę glinę., gdzie
ona dość szybko rozmarzała. Były takie, co przewracały tę gli-
nę. Ale ja przy przewracaniu nie pracowałam. Ponieważ szyny ko-
lejowe były położone na glinie, więc się rozjeżdżały okropnie.
W tej sprawie potrzebny był konserwator. No, i ja byłam tym
konserwatorem.

Aniela: Ale to była bardzo indywidualna praca, tak?

Hania: Tak, to była bardzo indywidualna praca. Ale czasem trzeba było
zastąpić woźnicę. Tam były wozy. I jeden był taki, który z cięż-
żarem szybko biegł do cegielni, ale zpowrotem nie chciał iść.
Więc jak zastępowałam tego woźnicę, to zawsze kawałek chleba
miałam - dzieliłam się z nim swoim chlebem - i posuwałam mu
pod nos, biegła przodem, a on za mną./Śmieje się./ Kiedyś, gdy
przywiozłam glinę i z pustymi wagonetkami wróciłam tam do tej
kopalni - a tam były rozjazdy:-były wagonetki puste, napełnia-
ne i pełne - jakoś tak między tymi wagonetkami stanęłam po od-
czepieniu woza i tarasowałam aby wagonetka nie stoczyła się.
I druga wagonetka toczyła się na mnie. Nie wiem co zrobiłam,
że nic mi się nie stało. A te , tam były ukrainki, rosjanki ,
mówią:"Ty chyba jesteś święta. Bo zobacz, gdzie ciebie nie po-
stawia, na takie miejsca, gdzie śmierć nieraz groziła, to to-
bie nic się nie stało". Bo jeszcze, będąc na kapitalnym remon-
cie - szyny muszą leżeć odpowiednio: środek, i zewnętrzna stro-
na oddzielnie. Więc trzeba było rozkręcić te szyny i pchać nie
można było, tylko musi być ten poślizg , bo inaczej szyny wje-
dzie na szynę. Każdy bał się iść do przodu. Ja biegłam i miałam
szybki refleks. Jak tylko czułam drgnienie pod ręką, momental-
nie siadałam. Biegły wszystkie patrzeć z brygadzystą na czele
czy ja żyję, bo kilku osobom zmiozło już głowę właśnie.
Później gorzej było, gdy trafiałam do cegielni, do suszarni tych
cegieł. Bo tam się suszyło za pomocą dymu węgielnego. Piec był
powiedzmy: 30m x 30m., może nieco większy i były szczeliny od
pieca i potym, jak one trochę podeschły - nie wiem jaki był
okres tego suszenia - trzeba było wagonetkami zabierać te cegły.
I ja tam zawsze mdlałam. Też dostawało mi się za to, że udaje,
że nie mogę. Ale jak już zupełnie nie było siły, zupełnie szty-
ną mnie wynosiła - najbardziej tego nie lubiłam.

Hania: /cd/. Wynoszenie cegły i potem wiozko się ją do innego pieca gdzie było wypalanie cegły. Potem już tylko po wypalaniu wynosiłam. Na układaniu do wypalania ja nie pracowałam. To były takie "kozły". Brało się po 10 cegieł na plecy, tutaj, tak się trzymało.

Aniela: To dużo.

Hania: I to ciężkie.

Aniela: Dwie cegły są już ciężkie, a co dopiero 10.

Hania: Ale to na plecach.

Aniela: Wiem. Tębyły takie nosiłki, koziołki.

Hania: Później stamtąd trafiłam już na półtora roku przed oswobodzeniem, trafiłam do SPEC-a, do Minkagu.

Aniela: W którym roku w 54, czy 55 ?

Hania: Koniec 53-go roku.

Tania: Nie, kochanie, bo byłaś ze mną. Ja wyszłam w 53-m w lipcu a paną, co najmniej rok była zęmną. Bo ja panią pamiętam.

Hania: Ja wyszłam w 54 roku, 13 grudnia, wyszłam z obozu i 13 grudnia wróciłam do Kraju. Tak, że 13-stka była dla mnie szczęśliwą liczbą.

Aniela: I wtedy przeszłaś do Spec-u to znaczy do Minkagu?

Hania: Tak, i tam też byłam na ogólnych robotach. A przed samym wyjściem z obozów pracowałam jako talońszczyca. Tam dostawałyśmy dodatkową porcję jedzenia.

Aniela: Ale to było przed samym wyjściem. A początkowo, gdyż się tam dostała, to jakie były prace?

Hania: Pracowałam na śniegu. Tam była piekarnia i trzeba było rozczyszczać śnieg.

Aniela: Ale to już bez normy? Czy też na normę?

Hania: Na normę. Właśnie tam.

Aniela: Uff! Na śniegu bardzo ciężko było normę wyrobić, bo to lekkie.

Hania: Dla mnie to była najłatwiejsza praca. Zaraz powiem. Niby to normy nie było, ale przychodził ten Pietrusienko, naczelnik obozu i powiedział: "To macie zrobić". Powiedziałam, że to bardzo dużo. A on: "Kto powiedział?" Mówię: "Ja powiedziałam".

Tania: Jeśli byłaś przy Pietrusience na II OLF-ie, to znaczy, że byłaś przynajmniej u roku 1952 a nawet 53-m. Bo ja byłam na małym obozie, tam, gdzie był Chinin. I myśmy dopiero jak była powódź w 1951 roku, to myśmy przeszły do was, na OLF. A Pietrusienki nie było już. Myśmy przeszły w 52 roku. I przy mnie Pietrusienki już nie było. Był jakiś inny naczelnik.

Hania: Tak. Ale dalej: Mówi mi: "No, to macie za to, i daje mi naj-

Hania: /cd/. większy kawał do zrobienia. Nic nie powiedziałam. Ja wiedziałam, że to zrobię. Ale powiedziałam, bo wiedziałam, że inne się straszły i nie mogły tego zrobić. A ponieważ przedtym pracowałam na odcinku i przy odśnieżaniu i innych pracach, więc miałam trochę już w tym wprawy. I nie tyla siłą brałam, co sposobem. Potym on przychodzi sprawdzić ile jest zrobione. Dziewczęta jadły i momentalnie się zerwały wszystkie a ja miałam właśnie kawałek chleba. No, to cóż, nie mogę skończyć tego kawałka chleba?! No, cóż, zgłodzieliście?" - pyta. A ja mówię: "A tak". "To ja wam zaraz dobry obiad dam". Zabrył się i poszedł. A dziewczęta na mnie wsiadły, że teraz to my dostaniemy. Bo ich zdaniem on był bardzo srogі. I rzeczywiście przysłał nam - bo tam były inwalidki w tym obozie, które do pracy nie chodziły i on nie pozwalał zabierać do baraków chleba i przynosić do baraków jedzenia. Jeśli ktoś nie przyszedł, to kazał ten obiad zpowrotem wlać do kotła. I rzeczywiście przysłał nam gorący obiad i chleb. Takie czasem były jego kaprysy. Potym po Pietrusience był jakiś tam inny naczelnik obozu i kopało się tam zbiornik przeciwpożarowy. Wszystkie brygady wróciły z pracy a nas nie zdejmują - już ponad 12 godzin pracujemy. Więc ja mówię: "Wiecież, co? Idziemy. Oddamy wszystkie narzędzia pracy." A raptem zjawia się naczelnik. A my tylko co wylazłyśmy z tego dołu. "Kto kazał?" Ja mówię: "Nikt nie kazał, tylko myśmy same rzuciły, bo przecież trzeba czasem odpocząć." Na nikogo nie zwałałam, bo z jakiej racji na ktoś za to ucierpieć. "No, to wracajcie zpowrotem i będziecie dotąd pracowały, dokąd ja nie powiem, że koniec". Jakiś czas, będąc tam pracowałam na sianokosie w ciągu lata. To była też straszna praca. Zawieziono nas statkiem przez rzekę Usse.

Zosia: Pod pokładem 3 doby.

Hania: Tak. Pod pokładem. I dziewczęta, te rosjanki, które obok mnie siedziały, powiedziały: "Nie pójdziemy. Lepiej zginąć tu na miejscu". Bo tutaj został zatopiony cały etap z Polakami.

Aniela: Barka?

Hania: Nie, nie barka. To miało takie dno otwierane. I przywiązano im kamienie - ktoś opowiadał.

Zosia: Tak zginął, został zatopiony mąż Marii Rogalewicz.

Tania: Na Ussie?

Zosia: Tak. Tylko nie wiem w którym roku.

Aniela: Ale z obozu?

Zosia: Tak, z obozu.

Tania: To było w 53 roku. To wyście miały 1żejszy ten sianokos.

Hania: O, o, !

Aniela: To wyście wyjeżdżały statkiem na jakiś czas, czy tak?

Jadzia: Na okres letni.

Aniela: A jakie tam były warunki? Czy były jakieś baraki?

Hania: Powiedziano nam, że tam będzie barak. Ale ten barak był jakiś taki ...

Jadzia: Nie było baraków. Mieszkałyśmy w ziemiankach.

Hania: Początkowo - jak się nazywała ta białorusinka?

Jadzia: Nela.

Hania: Tak. Nela, ty i ja zrobiłyśmy namiot.

Jadzia: Szalas. Ale początkowo mieszkaliśmy w ziemiankach, na górej ziemi, na głodnej wyspie. Ziemianki, kopane w ziemi.

Hania: Ale ja nie na ziemi tylko na górnych narach, w takim baraczk. Była ulewa, a myśmy dostały po przyjeździe patelnię i kubeczek. Patelnię na zupęczy drugie danie, a wogóle to było jedno i to samo i ten kubeczek też do picia wody. Więc ulewa. Dach przecieka. Ja siedziałam na ~~stronie~~ górnej pryczy, postawiłam na głowie patelnię a na kolanach kubeczek i w ten sposób siedziałam, żeby ochronić się od deszczu, żeby mi na głowę nie lało, bo lało się niesamowicie. Pótniej myśmy wybudowały ten szalas ale i tam też woda się lała.

Hania: Trafikiem do wyszywalni. Mieszkałam z panią Zulą, estonka.

Tania: Estonka była już na wolności.

Hania: Przepraszam. Gdy wróciłyśmy z sianokosu, ona była. Ona rok przede mną poszła nawolność., wyszła z obozu.

Tania: To znaczy, że byłaś w 1951 roku na sianokosie, bo pani Zula wyszła w 1952 roku.

Hania: Ale po naszym powrocie z sianokosów. Spałyśmy tak: pani Zula w jedną stronę, jakaś Estonka też, a ja jako najmniejsza między nimi ale w odwrotną stronę. Tam były prycze dwuosobowe, ale spały 3 osoby. Tam były okropne pluskwy - kłapy.

Jadzia: To wieczne kapanie tych prycz w tych kotłach.

Hania: Tak. Kapanie. Jak się wracało z pracy to było odpluskwiania baraków. Trzeba było prycze wynieść nazewnątrz. Były wagonetka próżna, pod którą palił się ogień i gotowała się woda i te prycze trzeba było ^{zauważać w tym kipiaku} ~~zalewać~~ te jedną, te drugą stronę.

Aniela: Znamy to, znamy.

Hania: Ale zanim te prycze rzuciło się do wody, do wrzątku, to się ją rzucało parę razy na ziemię, żeby te wszystkie pluskwy powypadały.

Tania: Czyściej się robiło i nie było pluskwiew, ale nie na długo.

Tania: /ed/. Przecież jak moja Irena napisała do mnie z Wilna - bo ja jej piszę, że pluskwy straszne - a ona, że to oburzające, że są pluskwy. Przecież z pluskwami się walczy. Są albo poszczególne osobniki, albo robi się dezynfekcję ogólną". To takie śmieszne było, jak ona mi to napisała do bytowych lagrów, gdzie był deszcz pluskiew i żadnej dezynfekcji być nie mogło. Przecież to był deszcz tych pluskiew. Myśmy sobie brały z przyjaciółką Łotyszką, wieczorem koc - spałyśmy na dole - i kuczywo i paliłyśmy górne nary ogniem. A te pluskwy tylko "pyk, pyk" spadały. Koc był czarny od nich. Wynosiłyśmy to i następne. Więc po takiej żaźni ogniowej miałyśmy względnie spokojną noc. A jak kiedyś zostawiłam chleb pod poduszką, to jak ugryzłam, miałam pluskwy w ustach. To było coś strasznego. A chleb, cenny materiał trzeba było trzymać pod głową.

Zosia: Ja na Uncie zostawiłam chleb pod poduszką i w dzień czuję, że coś mi się pod poduszką rusza, a to szczur zabrał mi chleb.

Jadzia: U mojej sąsiadki szczur wyciągnął chleb z pod poduszki razem z serwetką i pociągnął do dziury. A to była Litwinka i do mnie z pretensjami, że to ja jaj ten chleb ukradłam. A wiecie co to znaczy w obozie ukraść chleb. Nie mogłam jej przekonać w żaden sposób, że jej tego chleba nie ukradłam. Chleb miał pod podgołownikiem i niema chleba. Więc gdzie się podział? Sąsiadka wzięła. To było na bytowych. I wreszcie, gdzieś tam kręciłam się i patrzę a tu z dziury sterczy biały kawałeczek materiału. Wyciągnęłam - a to ta serwetka od chleba, jeszcze z okruciami. W ten sposób ujawniło się, że ten szczur wszedł pod podgołownik i wyciągnął chleb.

Tania: Jedną była pogryziona przez szczura, twarz miała pogryziona.

Zosia: A dzieci - przecież u nas. Nataśka miała tutaj, na palaszku bliźnię. I na uszku też. Dzieci bywały napastowane przez szczury

Aniela: W Domu Dziecka?

Zosia: Tak.

Tania: Któraś wkłada walonek i jak nie wrzaśnie, bo tam był szczur. I ten walonek z tym szczurem po całym baraku poleciał.

Zosia: Nasa były szczurów. A pluskiew ile!

Tania: A potem przejechała konisja z Moskwy i powiedziała, że nie ma być pluskiew. I faktycznie potem nie było. Że były robione te "szparki", pobiełki - to prawda, ale pluskiew po tych latach w obozach nie było. Kiedyś Polewoj, naczelnik /on był po Pietrusience/ sprawdzał, szukał pluskiew, każdą narą trzepał, czy nie spadnie. Trzepał i wypadł trupek pluskiewki,

6

Tania: /cd/. jeden trupek na cały barak. I on nam kazał na nowo po ciężkiej robocie całą noc kotły palić i całą noc robić "szparkę". Polewoj też nas bardzo męczył. To był reżimnik. Niech go szlak trafi. Kiedyś widziałam go w świetnej sytuacji. Bo rzeczywiście przyjechała komisja, a jego nie było na stanowisku. Ja w tym czasie pracowałam w stołówce: na scenie pracowałam jako chudożnik, przygotowywałyśmy jakieś dekoracje. Komisja wpada na scenę, oglądają to i owo i nagle przybiega Polewoj, jak szmata i tłumaczy się gdzie on był, ale jakoś tak mętnie. Tak fajnie było patrzeć na niego, bo to był zupełnie inny człowiek. Gonił nas. Te staruszki z nar spdały, gdy wchodził naczelnik, tak skakały z nar, że omal nie zabijały się.

Jadzia: Polewoj miał jeszcze jedno okropne przyzwyczajenie, czy chorobę. Bo to był człowiek zbeczeniec. Wiesz, jak szłam z Zosią Owsianko kiedyś i Zośka raptem zobaczyła jego i mówi: "Chodź, uciekajmy od niego". "Dlaczego?" - mówię. A ona, że on na dziewczyny napadał z tyłu. W każdym razie ta, która mu w oko spadała, to on z tyłu napadał, obejmował i: "Dziewuszka, postój, postój" - i potem ją puszczał.

Tania: A kiedyś był świetny kawał. Bo tam był taki ogromnie plugawy nadzieratkiel. Proswietow się nazywał. Dobrze się nazywał i przyzwicie wyglądał i to jest właśnie okropnie przykre, jak przyzwicie wyglądający człowiek jest ostatnią szują. On nam okropnie dokuczał. Łaził po śmietnikach, szukał nie wiadomo czego, żeby się tylko przyczepić. Pod oknami łaził, patrzył, czy która listów nie pisze. Taka świnię. Otóż jedna z bab zaszła w ciążę. Pracowała na wodokacze. I ~~krz~~ teraz: kto jest ojcem. Ona powiedziała: "Proswietow". To nie była prawda. I tego Proswietowa zdjęli. To był taki dobry kawał i cały obóz trząsk się ze śmiechu. Bo peco niby miała sypać jakiegoś więźnia, bo tam mężczyźni bywali. Powiedziała "proswietow". A jej sytuacja była taka sama, a więzień by ucierpiał.

Tania: Ja przyjechałam na obóz do Fieczory

Aniela: Przepraszam. Ty kiedy byłaś aresztowana?

Tania: Aresztowana byłam w 1946 roku 10 lipca. W więzieniu - to może powiem od początku

Aniela: Tak. Tylko króciutko.

Tania: Więc śledztwo trwało od lipca do początku grudnia. Wtedy było odczytane paragraf: "Dwieście szestoj". Wspaniałe to było odczytywanie tych naszych ~~paragrafów~~ protokółów, związanych

6

Tania: /cd/. ze sprawą. Tam się dowiedziałam, kto sypnął Polaków, tę całą polską resztówkę. A był^{to} niejaki pan Tadeusz Sikora, który teraz jest podobno w Szczecinie. W każdym razie był. Sikora nie tylko dawał zeznania, to były referaty. Referaty człowieka, który chciał dać jaknajbardziej wyczerpujący obraz każdego człowieka, o kim wiedział cokolwiek. I okurat o mnie i o Bałtruku - bo myśmy z grupy byli tylko we dwójkę - wiedział bardzo mało. Ogólnikowo wiedział. Ale to temat osobny. Sąd się odbył w styczniu. Wyroki dostaliśmy takie - była z nami sędziona Magda Kozoduj, Teresa Szymonowiczówna-Skalska

Aniela: To wyście były razem sądzone?

Tania: Razem. Zrobiono wspólną sprawę. I Zula Rymkiewiczówna, i ja. Natomiast z panów - byli dwaj bracia Bielawscy, Ambroszkiewicz, Broniek Krzyżanowski, Kreczet-Jaroszkievicz i niejaki Staszołek, który zdaje mi się, nie był z nami związany. On okropnie śmiesznie kręcił, więc ostatecznie dostał trzy lata. Rymkiewiczówna - cztery lata, Broniek dostał 5, Ambroszkiewicz i ja po 7 lat. Pozostali po 10. I z tym przyjechaliśmy na Łukiszki. Po sądzie zostałyśmy wprowadzone do podwaju. Zabawne było - Ja, Magda, Zula Rymkiewiczówna - i powiedzieli, że mamy przejść kwarantannę. A w tym kwarantynie, w podwale była wybita szyba do połowy, parasza nie zakryta, jakaś brudna słona, odbobina. I na ścianie od sufitu do podłogi dwie postacie kompletnie bez niczego wyrze w murze. Nas to wszystko okropnie śmieszyło, cały ten sąd nas śmieszył. Na arsenalskiej był sąd. I tak przez 10 dni bawiłyśmy się w rozparietywanie tego sądu i pękałyśmy ze śmiechu. Rozebrać się nie było można. Siedziałyśmy poubierane w co tylko było można, bo śnieg nam sypał się do tej naszej celi. W końcu zbuntowałyśmy się, zaczęłyśmy walić w drzwi, nauczone przez Magdę Kozoduj, bo ona była doświadczona więźniara. I : "Dawajcie nam prokuratora". "A, czemu?" "Po my już nie możemy wytrzymać w karantynie, w brudzie, w chłodzie. I wtedy poszłyśmy do kaźni i trafiłyśmy na salę ogólną. Trafiłyśmy jak na wakacje. Ciepło, gwar rozmów, swoje panie. Grupa polskich AK-owców była bardzo sympatyczna. To był gruzdzień. I tam przebyłam do maja. W końcu maja, w każdym razie to było po 20-ym, też z pewnymi przypadkami, przywieziono mnie na ulicę Sniegową, gdzie była wówczas piereszyłka. I tam odśiedziałam w niedużej grupie polskich dziewcząt, wśród przewagi Litwinek i kilku Rosjanek do lipca, do 24-go lipca.

Aniela: To był już 1947 rok?

Tania: Tak. To, co było ciekawe na tej piereszyłce, to przeżycia re-

Tania: /ed/. ligijne. Wspaniałe. Któregoś wieczoru z tym kiplatkiem ksiądz, Litwin. Myśmy już trochę rozumiały po litewsku. Ksiądz mówił, że jutro przyjdzie z Komunią Świętą. A w tej chwili żebyśmy odbyły spowiedź w skupieniu. Odbyłyśmy tę spowiedź. I rzeczywiście ze śniadaniem przyniósł nam Komunię Świętą i każda z nas dostała cząsteczkę. Potym zaczęło się straszne ciągnięcie Polek. Od nas zaczęło. "A co? a jak?" Wszystkie naturalnie zaprzeczały. "Ksiądz?, ksiądz? co takiego? Jaki ksiądz! żeby był, tobyśmy wiedziały." Już uniałyśmy się wtedy bronić. Ale jednak to było sypnięte. Znała taka bardzo dobra dziewczyna, Szura, dyżurna, która nam umożliwiła przyjście do nas. To był takie najmocniejsze przeżycie.

A na tej piereszyłce to było tak, że albo pracowałyśmy w zonie, to była lekka praca. I też kobiece grupy wychodziły do pracy do ogrodów. Marzyłam o tym, żeby uciec. Ale mówię uczciwie: ani jednej okazji do ucieczki nie miałyśmy. Ani jednej okazji. Kobiety pracowały w ogrodach. Ja też kiedyś stanęłam w tym szeregu na wyjście. I wyskoczył OPER i wypatrzył mnie jedną. Skopał mnie, wycofał z grupy i kazał iść do baraku. Może dlatego, że miałam bardzo piękny ~~wzrost~~ punkt, bo miałam 58/6, a to - szpiegostwo. A 58/6 miałam dlatego, że miałam w 1946 roku paszport polski, wyrobiony w Warszawie, bo jeździłam sobie. Więc tłumaczyli mi śledczy, że 58/1-a zdrada ojczyzny nie podchodzi, więc "musicie mieć szpionaż". "choroszo"- ~~no~~ ~~wię~~, ale wyrok 7 lat, nały. I stąd wyjazd nastąpił w końcu lipca z tej Sniegowej. Jechaliśmy. Jeden wagon kobiecy, pozostałe męskie. Jechaliśmy wśród mężczyzn, z Polakami. Był tam Barsengow- Pławiński - ciotka - Wiaczesław i Chyliński, ten sam Chyliński, który był odbity z Gestapo przez Bałtruka, Zaka i Jurka. A z kobiet była ze mną tylko Kazimiera Zajączkowska. Nie wiem, czy znacie taką. Ona kazała się nazywać Krysią. Ona siedziała z Dolińską na Rossie. A poprzednio w tym łagrze u Wizytek. I tak przyjechaliśmy na Pieczorę. Trafiliśmy tam do lazaretu. Przybiegła zaraz do nas Janeczka ~~Bo~~ ~~dz~~ ~~yn~~ ~~ska~~ i Luśka Rukarz, które były na Pieczorzach przez dłuższy czas. I zaraz pytanie: czy są Polki? "Jeść Polaki?" od razu potrafiły nas wyprowadzić z etapu, który siedzi na 501-a, grośny etap. Starają się nas zostawić. Bywają wyjazdy gorsze i lepsze. W tej chwili szykuje się ten gorszy. Trzeba zaznaczyć. I rzeczywiście siedzieliśmy w tym lazarecie prawie 3 tygodnie. A 501-a strojka już odjechała. Którejś nocy wywołują nas. A my jesteśmy tak pewne, że zostaniemy na Pieczorzach, bo

6

Tania: /cd/. już nam się praca kroika. Ja miałam tam w laborato-
rium pracować. Już to wszystko było uszykowane.

-Ciąg dalszy opowiadanie Tani na następnym
stronicach.-

Taśma IV - str. 1 "A" -

Isabelin, dnia 24.10.1982 r.

Ciąg dalszy wypowiedzi Taki Gortyńskiej.

Tania: Powiedziała dziewczętom, że są dwaj Polacy: Eugeniusz Chyliński i Włodzisław Pławiński. Janeczka serwała się i już jej nie było. Okazała się, że Pławiński był jej dowódcą. Starła się zatrzymać go od etapu, ale już było za późno. Cały nasz transport odjechał niedługo na "501 strojkę" koło Workuty. Kryśka i ja, po kilku tygodniach, wyjeżdżaliśmy na etap, nocą bardzo gwałtownie wyrwane i wędrowaliśmy o głodzie i pragnieniu przez trzy dni, przetaczane między stacjami bez końca i wreszcie wylądowaliśmy w lazarecie IV-tym, na Incie, koło stacji Inta. I tam właśnie spotkaliśmy rodaków: Kryśkę Kowalską, Się i lekarza, Czesława Kozalenasa, którego znałam z dzieciństwa. Przypomniałam sobie gdzieś-tam wspólne wakacje w Bastunach w dzieciństwie. Oboje otoczyli nas opieką: Kasię Zajęzkowską i mnie. Lazaret miał niesłe warunki tak, jak potem oceniałam, w porównaniu z łagremi. Każda chora miała swoją kojekę, nie było prycz piętrowych. Głód był ciężki. Kryśka nie się tam rozchorowała. Miała silny ból boku i wysoką temperaturę. Diagnoza lekarza: sakorbut płuc. Nie ma witamin, niech więc je cebulę. Nie można cebuli jeść, jak się ma 39° gorączki. Tak więc zdana była na własny ratunek. Doktor Kozalenas zapewniał, że obecnie w lazarecie są bardzo dobre warunki. W zeszłym roku pod narami ludzie umierali. Pod narami, bo na narach nie było miejsca. Byliśmy świadkami śmierci w tym lazarecie, ale to już osobna sprawa. Po kilku tygodniach zjawiała się konisja i wyjeżdżaliśmy

Tania: ja i Halinka Sienkiewicz z Wilna. Wyjechałyśmy na robotę "kołoną", która okazała się piekłem. Przeszłyśmy kilka kilometrów od Inty na 29-tą "kołoną". Był już mróz, straszny "szalman", brud. Robota, "Eksier" - pierwsza robota - więc trzeba "sportowo" pracować. "Sportowo" ładować świr na wagonetki, wywijać bez końca i na wagonetki i dobrze rzucać, a rzucać łopata, uniałem, bo przecież w Wace przeszło się przeszkolenie. /W Wace była zorganizowana przez Czerwony Krzyż na początku wojny praca dla studentów - rolna i w ogrodnictwie./ - Miałam wyszkolenie na budowie dróg, więc w końcu kirka i łopata, kirka i łopata - i z tego wszystkiego rozchorowałam się. Przychodziłyśmy po robocie zmordowane i nawet obiadu nie ma, bo nam zeszły już poprzednie brygady. Rzeczywiście warunki były straszne, wrzaski po nocach, tańce jakieś zupełnie niesamowite. Na szczęście znów przysłała "komisowka" i poprowadzono nas na inną "kołoną", czy piechotę, czy wieści nas - nie pamiętam. I tam troszeczkę pobylam w lazarecie, troszkę przyszedłam do siebie i w parę dni znów na inny obóz. "Komisowka". No, tak, bo ta "komisowka" na 29-tej kolonii, to była "komisowka" na "O.P.", a "O.P." to było rzeczywiście błogosławieństwo, bo już bez roboty. I ganiano nas po tych "kołonach", na jedną, potem na drugą, wreszcie na stację Bugry, między Kocznem a Intą gdzieś. I tam myśmy przesiadziały zimą i tam nie chodziłyśmy na robotę, a ja byłam bardzo chora, jedna z najbardziej chorych tam, bo odlałam z tego wszystkiego. To było na tle niewyleczonego ciężkiego zaziębienia. Jeść nie mogłam. Z osłabienia to już jeść nie mogłam.

Tania: I tak się to toczyło, niekończące się "pobieżki", pluskwy oczyszczenia. Polek tam nie było, właściwie to były nawet dwie. Jedna się nie przyszuwała do tego, że jest Poką - później o tym powiem. Ja się trzymałam z Lotyską, Tatianą Szware, i myśmy się uratowały, można powiedzieć. Bo gdyby nie ja, to ona by nie wytrzymała, gdyby nie ona, to ja bym nie wytrzymała, bo w ogóle nie było nawet z kim rozmawiać. Zaprzyjaźniłyśmy się, bardzośmy dobrze sobie tę zimą spędziły na narach. - No, i wtedy właśnie, na tym oboziku, po "pobieżce" kolejnej, dziewczyny zaczynają myśleć, że trzeba koniecznie trafaret namalować. Myślałam z żalem: takie śliczne ściany zaraz posmarują. Żeby to uchronić, to myśmy się same zabrały do zrobienia trafaretu. No, i zaczęła się moja kariera. Namalowałam szlaczki, kwiatki itd. na ścianach baraków.

Aniela: "Chudożnik".

Tania: "Chudożnik". Przyjeżdża jakiś naczelnik i mówi: "O, u was jest 'chudożnik'" - A ja w ogóle nie wiem, co to znaczy. A Tatiana mnie szturcha i mówi: "Eto wy." - No i tak już nabrałam tego rozmachu. Farby były z tartej cegły, z sadzy, z lekarstw: czerwone, sielone, żółte, czarne. Na kwiatki, listeczki, co tam chciałam. I to trwało do wiosny. Wiosną przeszłyśmy znowu za Abieś. Stacja kolejowa Siwa Maska, 40 kilometrów za Abieś. Na bardzo ciężką pracę. Ale tu znowu przyuważył mnie naczelnik: "chudożnik był potrzebny. No i znowu trafarety malowałam bez końca. I za to był - "błat". W kuchni na przykład: dostawałam już gęstą supę. Były zupełnie dobre czasy i dobre stosunki. Poczyna przeszucono nas pod Koczmes. To straszne jeżdżenie było wówczas.

Tatia 7 tył, w przód, do Sivej Maski, spowrotem. Siwa Maska za Abicóien, 40 kilometrów było na tej linii między Intą, Koczmesem, Siwą Maską. Trafiliśmy na niezłą roboczą "kołone". Niestety, znovu jakaś tam komisja przyjechała i na roboczą. I zabrano Tatiane. A my nie możemy się rozdzielić, bo naprawdę swariujemy obydwie. Już robiłam, co mogłam, żeby ją zatrzymać, już tego "błatu" trochę było. Ale nie można było, bo już lista przeszła. Ale natomiast mogą mnie wpisać. Dobrze! Jadę. Przyjechałyśmy na "kołone" 12-stą. Tu zaczął się drugi krąg piekła. Tak jak ta 29-ta, to ta była chyba jeszcze gorsza. 12-sta. Tam "pro-raben" był Polak, ale szuja. Cisnął nas tak strasznie. Jesé nie było co. Jak dwie kostki tego turnepsu było w rupie, zgniła ryba. Nie do jedzenia. Paczek nie dostawałam żadnych. Żadnej pomocy, więc już oczywiście chwiałam się na nogach. Minęło dwa tygodnie i Tatiane zabrano mi na inne obóz, więc zostałam na dobitkę sama. I to tak trwało od czerwca do sierpnia. Naprawdę można było wykończyć się zupełnie. Ja jestem odporna, jakosé daję sobie radę psychicznie, ale tam już nie wytrzymywałam. Obce środowisko. Nikogo z kim możnaby zamienić słowo. "Błatnyje" straszne. Złodziejstwo, te brudy, ta "maskara" i pluskwy, wszystko, co chcesz. To piekło trwało do końca sierpnia, kiedy okazało się, że przyjechała nasza znajoma "nariadczyca" z poprzedniego łagru z listami osób, które mają jechać na inny etap. Wyczytuje - mnie nie ma. Pobiegłam do niej: "Mama, rób, co chcesz. Zabierz mnie z tego obozu. Wiem, że są obozy lepsze i gorsze, a tu ja już nie mogę wytrzymać."

Tania: Ona mówi, że: "Przecież ty jesteś na liście." - A nie wyszłała mnie. Mówiło się, że jedziemy do bardzo dobrych obozów, właśnie do Tajszetu. Tymczasem wcale nie pojechałyśmy daleko, bo zaledwie do stacji Inty, gdzie nas wyładowano w tundrze. Koło mnie stała Łukowska Sława. Inteligentna, Ukrainka. Mówi do mnie z przerażeniem: "Oni nas wystrzelają, bo wysadzili w polu, w tundrze."

Któs: To pani po polsku rozmawiała?

Tania: Po polsku rozmawiała stale. Łukowska, nauczycielka, inteligenta pani.

Zosia: Bardzo miła osoba. Przyjaźniłam się z nią.

Tania: "Ależ nie, pani Sławo, to niemożliwe." - A sama już tracę pewność. Jesteśmy obstawione gęsto przez "krasnopogoniaków" z karabinami i paami, więc rzeczywiście to wyglądało nieprzyjemnie. Ale ruszyłyśmy kolumną w drogę. Przeszłyśmy kilka kilometrów, pod górką, pod górką. Tak mi się ten 5-ty obóz wydawał daleko i wysoko. - A nie powiedziałam jeszcze, że od marca -48-go roku żyłam nadzieją, że wrócę do Kraju, bo: Po pierwsze - miałam sny na wolność, wyraźnie - sny na wolność. To już bez żadnej wątpliwości wszyscy tak tłumaczyli. Po drugie - naczelnik przychodził, taki Manicskin, nasz naczelnik dobry był, taka fujara okropna, przychodził i mówił: "No, ty to pojedziesz do Polski. Sobiraj się z wieszczkami, bo już-już ciebie zabiorą." Potem dostałam list od Polaków z obozu sąsiedniego. Dowiedzieli się, że jest Polka. Polacy z sąsiedniego obozu: że jedziemy wszyscy na Pieczorę i że wszyscy Polacy - bez względu na paragraf - wracają. Więc ja żyłam nadzieją. A ta nadzieja trwała, trwała.

Tania: Tymczasem zaś w żeb dostałam. Wreszcie znalazłam się w grupie przywieszanej pod Intę. Zobaczyłam te kraty, obóz ten - V-ty OLP - naprawdę warowny wyglądał w porównaniu do tych bytowych. Tu już reszta nadziei przysła. Wylądowało się na "piorosylnym" punkcie.

Pierwszy obiad ... To było bardzo ciekawe. Prowadzą nas parami przez męską stronę, bo my miałyśmy tam dwa baraki wydzielone, a w ogóle to był duży żagier. Prowadzą nas na obiad, a mężczyźni szpalarem, wypatrują znajomych. Nagle wyskakuje ktoś i : "Ja Panią znam!" - buch w rękę. To było tak niespodziewane. To był Bolek Rutkowski.

Anielka: Och! jej!

Tania: "Ja Panią znam. Pani przecież mieszkała na Zakrętowej. A Anielkę Pani zna?" - "No, oczywiście." - No, i taka znajomość była gorączkowa. Okazuje się, że Bolek tam się urządził jako pożarnik. Chodził i sprawdzał piece. Przaszyliśmy na obiad, zasiadliśmy przy tych stołach, na wolnym powietrzu, nie w baraku. Dali nam obiady: i tu nam niny opowiadały. To było coś tak fantastycznego - to jedzenie. Jemu dobrą, gęstą supę: turneps z mięsem, otłuszczony cyną. Zajadamy w zupełnym milczeniu i skupione. Patrzy Sława na mnie, ja na nią. "Wjadłam się." - To zdumienie w głosie: "Od jakiegoś czasu po raz pierwszy wjadłam coś, co wydawało się być wspaniałym obiadem." - No, i tam się było, tam się nic nie robiło. Bolek przychodził na rozmówki, wkradał się jako pożarnik, bez końca recytował "Redutę Ordona". Taki był przejęty powojną polską. I na tej "piorosylce" spotkałam Polki: Lusię Łukasz, Stachę Trawińską.

- 7 -

Tania: A potem, któregoś dnia, a właściwie któregoś wieczoru, takiego jesiennego, późnego, przyszedł nowy etap i krzyk: "Polki są? Polki są?" - A to była między innymi Zosia Andruszkiewicz, bardzo jakaś fajna. - No i z tego OLP-u chodziliśmy na roboty nie ciężkie, jakieś przebieranie kartofli, ale nikt nas nie ganiał, nikt nas nie popędzał. Tylko było strasznie ciasno w baraku, mnóstwo pluśkiew. Tu już spałyśmy nie po trzy na jednych narach, a chyba po cztery. I na podłodze leżały dziewczyny i w sieni. Kiedyś tam się przerwód zapalił - straszne - a tu kraty w oknach, a tu ogień leci po sznurze. Ale znalazła się - na szczęście - Rosjanka, która rzuciła koc na to i sgasła. Była tam taka Olga Michajłowna, nie pamiętam - niestety - nie pamiętam jej nazwiska, lekarka, która była bardzo dobra. Ruda, niepozorna, ale ona miała jakąś słabość do Polaków. I potem mnie naprawdę uratowała. - Przejchaliśmy na OLP inny, przeprowadzone zostałyśmy i tam część obozu była męska, a część żeńska. Ale izolacja była dość duża. Tylko chodziliśmy na roboty, wychodziliśmy razem. Tam widzieliśmy - 16 marca 1949 roku - niezwykle złą polarną. Szałe niebo było purpurowe, fioletowe. To trwało przeszło półtora godziny. - No, i potem kolejno różne OLP-y się przechodziło. Polaków, Litwinów było stosunkowo mało. Myśmy się tak trzymały grupą, aczkolwiek te stosunki między Polkami nie układały się akasmitnie, o nie! Były nawet bardzo przykre przeżycia, ale to inna historia i o tym właściwie mówić nie warto. W każdym bądź razie bywały bardzo ciężkie przeżycia z tego powodu, że był bardzo nieżyczliwy,

Tania: a i wręcz wrogie stosunek, właściwie trudny do wytłumaczenia, koleżanek między sobą. - Jakież tam były roboty? - Ten pierwszy okres nawet nie było tak ciężko. Gdzieś tam chodziliśmy na "owoszone-chraniliszczę", często odrzucałyśmy śnieg, co nam - owasem - sprawiało przyjemność, bo to był ten ruch po saduciu baraku. Czyszczenie dróg, odczyszczanie torów kolejowych ze śniegu. Kiedyś poszliśmy do lasu na jakieś rębanie drzewa, ale to wszystko nie było ciężkie. Ciężkie zaczęło się później. Był bardzo dobry nacelnik obozu /mam gdzieś zapisane jego nazwisko/, to naprawdę człowiek, zasługujący, aby o nim mówić. W naszym obozie był sławetny Polewoj, który był katem. Kiedyś dopadł brygadę żeńską. I nasza koleżanka, Hania Kalter, w czasie odpoczynku była wsparta na jakimś pieńku i jadła swoją pajkę. Nie podniosła się w porę na ten "podjon", kończyła śniadanie. Ten Polewoj napisał skargę do naszego Michajłowa.

Ktoś: Michajłow?

Tania: Do Michajłowa napisał skargę i prosił, żeby ją ukarać: "Piat' sutok BUR-u." - Michajłow Haneczkę wzwał, porozmawiać: "No, kadno. Idźcie do baraku." - Potem na placu było ogłoszone, że: "Kalter odbyła pias' sutok BUR-u." - więc fajnie. - A ja miałam taką przygodę, że kiedyś na DOE-u weszliśmy tylko na robotę, a tam się przechodziło przez taką halę, gdzie mężczyźni pracowali i między innymi Polacy. Chłopak, Broniek Bobrowicz z Wilna, witany się, podaje mi sobie rękę, rozmawiamy chwilę. I w tej chwili upada taki w kotuchu, wrzeszcząc: "Prostytutka! Faszytka!" -

- 9 -

Tania: A ja: "A ty po jakiej statie?" - tak go dosłownie spytałam. On na te słowa ryknął: "masz ze mną isé!" - Mówią mi mężczyźni, że to naczelnik jakiś. Dobra. Poszłam za nim. I znówu idzie karteczka do Michajłowa, że życzy sobie, żeby mnie ukarał. Potem Michajłow odczytał mi, że jakoby "dopuszczano się riał takich grubiańskich oskarżeń w stosunku do tego." - Michajłow się pyta: "Co to było?" - więc, że on mnie obezwał: "Faszystka i prostytutka. A ja nie jestem ani faszystka ani prostytutka. Szczególnie "faszystka" to jest stressen słowo dla Polaków." - Michajłow mówi: "Jak zobaczycie takiego w "białej szubie", to lepiej zejście mu z drogi." - I znówu na placu powtórzył, że ja dostałam BUR. Strasznie fajny naczelnik. Nadzwyczajny. - No, tak. Zmieniałyśmy te obozy kolejno. Jedną z najgorszych prac, to były "bałany". Strasznie ciężkie pnie drzewne na całą długość wagonu, nie do objęcia. W wagonach, w tych lorach, my jak muchy oblepiałyśmy taką kłodę i: "Raz-dwa wzięli! Raz-żwa podnieśli!" - I to trzeba było podnieść na wysokość krawędzi lory, potem toczyć. Bardzo ciężka praca. Kiedyś przyszłyśmy, choć nie skończyła się "rozgruzka", ale już się ściemniało i konwój nas przyprowadził do obozu skonane zupełnie, już tylko na nary. Okazało się, że popędzili nas spowrotem wraz z konwojem, bo robota nie skończona. To jedna z tych trudnych prac. Ale nie tylko. Kopanie dołów w smarziętej ziemi, to było w ogóle ponad moje siły. Ale te ukraińskie dziewczyny doskonale sobie z tym radziły, jakoś kopały. Noszenie, rębanie mechu smarziętego, układanie na nosilkach, wynoszenie, bo ten mech był zbierany pod budowę szpitala,

Tania: który rzeczywiście za naszych czasów był pobudowany na Incie. I tam właśnie, na tym mochu, ja przeżyłam bardzo przykrą historię, bo konflikt narodowościowy. Byłam w ukraińskiej brygadzie jedna Polka. Ze mną razem była pani Łarysa Giednina, Białorusinka, z rodziny mieszanej. Jej bracia byli w armii Andersa, a ona stała nienawiścią do Polaki. I w tej brygadzie ...

Ktoś: Przepraszam. ... bo miała męża Białorusina.

Tania: Miała męża Białorusina i była związana z tym ruchem białoruskim. Swoje gniazdo mieli w Pradze. Początkowo były jakieś rozmowy. Inteligentna osoba, wierząc sobie jakieś pisała. Więc jakoś tak możliwe było na początku. Potem zaczęło się podjudzenie tych głupich dziewcząt ukraińskich do nienawiści. Więc: polski ksiądz - sbrodniarz, polski nauczyciel, ziemianin polski, policjanci to wszystko sbrodniarze i to tak trwało i trwało. Ja jestem uosobieniem tego, tej nikczemności polskiej. Więc "nosiłki" nakłada się na moją stronę tak, że ja już padam. Trwało to tak przez tydzień. Ja już myślałam, że siekierą dostanę, bo to wiecie, jakie są ukraińskie wiejskie dziewczyny. I pewnego dnia przesoliły, bo rozkrzyczały się, że w więzieniu we Lwowie w -39-tym roku Polacy wymordowali Ukraińców. I na to wyskoczyła też Ukrainka właśnie, której mąż w tamtym czasie był w polskim więzieniu. To była tak śliczna ta Lucyna Wołk, wdowa, młodziutka kobieta, śliczna, wyskoczyła i z taką rozpaczą woła: "Co nie prawda! co nie prawda! Polacy otworzyli więzienie w -39-tym roku i powiedzieli: "Panowie, jest wojna. Jesteście wolni." - No, i wszystko umilkło. Już potem nie było tych problemów.

Tania: I w ogóle zamilkły rozmowy. No i po latach usłyszałam, siedząc w Czerwonym Krzyżu wtedy, kiedy i Tyś była tam, usłyszałam, że pani Larysa Geniusz domaga się też, żeby do Polski przyjechać.

Aniela: To Teresa Skalska była gdzieś z nią chyba.

Tania: Pani Grażyna.

Aniela: A może Grażyna? Bo gdzieś słyszałam coś o tym.

Ktoś: A ona chciała przez Polskę dostać się do Czechosłowacji, bo jej mąż tam był w Czechosłowacji.

Aniela: Ahh, aha.

Tania: On był jakąś szyszką w rządzie białoruskim. - To były obozy. Ja tam już czułam się dobrze. Tam były przyjemne stosunki. Zbierałyśmy się. Już byłyśmy jako tako urządzone, bo po pewnym czasie zostałam zaangażowana jako "chudoźnik", bo zawiączę malowałam karteczki. Karteczki naprawdę mi dawały "pozycję społeczną" - można powiedzieć. Więc różne powinszowania. Na przykład dla swojej brygady na święta każda dostała karteczkę. I to cenily dziewczyny.

Aniela: "O! tak.

Tania: I to było wysyłane w świat. Te kartki szły pocztą i do Kazachstanu i na Ukrainę i Bóg wie gdzie. I trochę zarabiałam, bo za rysowanie kartki miałam zwolnienie lekarskie na święta, a jeżeli w zonie była praca, to dziewczyny mówiły: "Zostań w baraku i rysuj nam kartki, a my za ciebie będziemy pracować." - No, więc ja robiłam tak. Po pewnym czasie zostałam zaangażowana do Ka-We-Cze, no i tam coś-tam też robiłam. Ale najprzyjemniejsza była praca, kiedy kasano mi rysunki dla dzieci robić. Takie rysunczki na deskach.

Tania: A potem była wystawa i dzieci pokazywały, że tu kotek, tu piesek, a tu ptaszek lub motylek. To było bardzo fajne. Chyba zrobiłam z 15-ście tych takich, tej wielkości, desek. Klejowymi farbami, więc to nie było trwałe wcale. Robiłam też trochę dekoracji teatralnych. To, to bardzo dużo dało. Bo siedziąc za sceną, to słaszy, wszystkie próby wysłuchiwać, te przedstawienia były przecież świetne. Ja przez pewien czas umiałam całkiem rozdziały z "Rusałki" Puszkina. "Rusałka" ciągle była grana, ciągle próby. Te pieśni były ukraińskie. Dużo tego pamiętam. Ja nie mam głosu, ale te pieśni pamiętam i warto by było spisać to, co się śpiewało w obozach. - No i tak trwało i trwało. Potem znowu znalazłam się na "obszczych". Jakos mnie wywalili. A to była bardzo ciekawa praca. Ja to już chyba mówiłam? Ja w "dietydomie" byłam portierką. To już chyba mówiłam?

Aniela: Tak.

Tania: Więc nie będę powtarzać. Jak to z rozkoszą wyszłam na te "obszcze". Natomiast koleżanki nasze pracowały, na przykład Jadzia Walms jako intendent w Domu Dziecka.

Aniela: Technolog? czy ...?

Tania: Nie, nie. Magasynier, magazynier w Domu Dziecka. I ten magazynier, ta Jadzia z Baranowicz, była wyjątkowo sprytna, nie pięknego, a jakos od pierwszego spojrzenia podobała się.

Ktoś: ... brała.

Ktoś inny: Ocsy miała bardzo ładne.

Tania: Ocska miała takie sielone - jakos mrużyła - w czarnych rzesach, jakieś prowokujące. Wpatrzyła ją z etapu jedna z Rosjanek. Na "OPe" trafiła, wtedy myśmy się zaprzyjaźniły. Tam byłyśmy przez kilka miesięcy chyba na 4-tym OLP-ie.

- 13 -

Ktoś: Przepraszam, ale ona nie-Polka?

Tania: Polka, Polka. Bardzo się za Polkę uważała i była bardzo patriotyczna. Trzymała z nami jak nie wiem. Była w Beranowiczach pełnomocnikiem polskim w urzędzie do spraw repatriacji i w związku z tym ją aresztowano. W tym Domu Dziecka Jadzia miała swój pokój i jakieś takie "błaty" różne, że radziła sobie z "nadsieratielemi", to już jej nikt nie ruszał. Tam właśnie stawiali się brażkę, kwas chlebowy, który po paru dniach fementował i był troszkę alkoholowy i my tam przyjęcia robiliśmy. To było tak śmieszne: już po "odboju", kiedy trzeba było siedzieć w baraku, a my dopiero przemykamy się. A ktoś tam z innej strony biegnie i pyta "Ty gdzie byłaś?" - A ona mówi: "Na karmioszce." - to znaczy dziecko karmiła i wraca do baraku. I pyta "A Ty gdzie byłaś?" - "Ja toż na karmioszce." - No, takie śmieszne rzeczy były. Myśmy miały bardzo dobrze urobione "błaty". Z tymi lekarkami. Ta Olga Michajłowna bardzo nam sprzyjała.

Ktoś: Kira jeszcze.

Tania: A, Głafira Aleksandrowna była zakochana w Jadzi, zupełnie wielbiła Jadzię. Zresztą Polki były dość dobrze urządzone. I nagle: trachi trachi - zabierają nas kilka w daleką podróż. To było zimą, koło Bożego Narodzenia. Obladzone wagony, my na kupie worków swoich głodne, bo o jedzeniu nawet nie myślimy. Do tarzyśmy po kilku dobach do Abieś, to zaledwie 60 kilometrów, strasznie smordowane. Wchodzimy do obozu, który jest zamrażnięty, baraki po dach zasypane śniegiem. Trzeba dopiero odgarniać, żeby wejść. I na górne nary, kto mógł, to się pakował, bo tam trochę cieplej.

- 14 -

Tania: I naraz wkracza taka wytworna, smukła, osóbką i pyta:
"Gdzie są Polki?" - To była Haneczka Haborowska, posarnik.
Miła, śliczna Haneczka. I Kryśia Zajaczkowska ze Lwowa.

Koniec str. 1 - "A" - tom IV.

Obecnie: Hanna Siehianowska, Zofia Andruszkiewicz, Stanisława Gortyńska /Tania/, Jadwiga z d. Jelenska, Jadwiga Zambrzycka z d. Hoppen.

Jadzia: Nazywam się Jadwiga Hoppen- Zambrzycka. Urodziłam się 20-go kwietnia 1921 roku. Skonczyłam szkołę średnią, gimnazjum SS. Nazaretanek w Wilnie, przed wojną. Rozpoczęłam studia filologii francuskiej, których nie ukończyłam. Prowadziłam stałą, bardzo intensywną działalność konspiracyjną jako łączniczka od lutego 1943 roku. Wtedy byłam łączniczką inspektoratu "E". Prowadziłam działalność wśród Polaków na Litwie przy ich przechodzeniu do oddziałów na wileńszczyźnie. W krótkim czasie skoncentrowało się to na kontaktach Polaków z Litwy z oddziałem III brygady Szczerbca. Przenosiłam dokumenty z oddziału do oddziału, listy, broń i różne tam rzeczy - i na zewnątrz. Było to dla mnie o tyle ~~ważne~~ ważne, że wtedy w oddziale "Szczerbca" był mój młodszy brat, Czesław "Kropla". A wybrał się też i starszy brat. Poza pracą u "Szczerbca" w charakterze łączniczki nie uczestniczyłam w żadnych akcjach wojskowych. Pracowałam jednocześnie na terenie miasta jako łączniczka. I tu współpracowałam z Zosią Dąb-Biernicka, podlegając jej. Potym, po wyjeździe Zosi, z "Ewą", Basią Skarżanką i przez jakiś czas z Anielą Dziewulską, "Krystyną". No, i ja, jak-to ja - łączniczka. Przechodzenie ze skrzynki, przynoszenie rozkazów, przynoszenie jakichś poleceń. Zasadniczo nie znałam treści, ani rodzaju tych wszystkich poleceń, które przenosiłam, które dostarczałam. Po pewnym czasie nazywałam się "Regina". Natomiast w późniejszym czasie, kiedy współpracowałam za "Szczerbca" byłam trochę "Regina", a potem "Agatą". I "Agatą" zostałam do końca. Później już się trochę usamodzielniałam, zostałam w oddziale do przeszkolenia łączniczek, nowych, młodych łączniczek. I tam miałam być i tę grupę prowadzić. W takiej sytuacji zastała nas akcja wileńska, kiedy wojska radzieckie dotarły do Wilna. Podczas, gdy nasze oddziały były skoncentrowane na Kolejowej i walczyły z Niemcami, myśmy otrzymali polecenie zgłoszenia się na koncentrację, zdaje mi się; że w "Księżym młynie" - nie pamiętam. W każdym razie Niemcy w międzyczasie wysadzili mosty na Wilii. Mieszkałam na Zwierzynku i byłam przerażona, że nie mogę się dostać do miasta. Chciałam nawet przepłynąć Łódką sama. Znalazłam tam jakąś Łódkę na Wilii.

Jadzia: /cd/. na przeciwko więzienia. Spakowałam plecak i powędrowałam do tej kładki z zamiarem przepłynięcia na drugą stronę. Nie wiem jakby to wyglądało. W każdym razie Niemcy zaczęli pykać bardzo dokoła tej kładki i ja doszłam do wniosku, że i tak, i tak nie przepłynę. Wobec tego zawróciłam. Ale musiałam coś zrobić. Nie mogłam przecież w tym czasie pozostać raptem bezczynna. Na szczęście na Zwierzyńcu był zorganizowany szpital partyzancki, do którego się zgłosiłam natychmiast, podając kierownictwu szpitala powody, dla których nie poszłam na koncentrację. No, i zostałam tam zatrudniona w tym szpitalu do momentu zakończenia walk. Ale chciałam tu cofnąć się do lat nieco wcześniejszych. Tak, jak mówię, taką intensywną pracę w AK podjęłam w lutym 43 roku. Ale jeszcze w listopadzie 1939 roku rozpoczęłam swoje pierwsze przygody w konspiracji. Dostałam się już nie wiem w jaki sposób, do domu, uroczego zresztą domu pani Jadwigi Łukaszewiczowej. Tam, oczywiście, ruch ogromny. Pani Jadwiga jeszcze po I-j wojnie światowej pracowała w POW. Wielka patriotka.

Tania: Ona mieszkała na Kasztanowej?

Jadzia: Mieszkała na Kasztanowej. Przepraszam, najpierw mieszkała na Mickiewicza koło katdrg. Ja jeszcze tam do niej dotarłam. No, i tam, w tym domu rozpoczęłam swoje pierwsze kroki działalności. Były to, jak teraz sobie myślę, bardzo zabawne. To była konspiracja typowo po polsku prowadzona w owym czasie. Ludzi pełno, wojskowych różnych, u których na czole było napisane: "ja - konspirator", i do kręciło się bez miary w tym domu. Dziewczyny latały, wydawano rozkazy, polecenia. Człowiek latał tam i zpowrotem. No, nie wiem jak w owym czasie tego domu nie zwinięto. Wtedy jeszcze tak nie zwracali na to uwagi. W każdym razie taką większą pracę kinspiracyjną otrzymałam poprzez tę-że Panią Łukaszewiczową, która skierowała mnie do pani - nazwiska nie pamiętam, bo to był pracownik naukowy na chemii Uniwersytetu Wileńskiego. Ona robiła lewe dokumenty. Więc tutaj to tak wyglądało. Skądś zdobywało się litewskie paszporty /pasasy/ - w jaki sposób to ja nie wiem. W każdym razie chemicznymi środkami wywiabiłało się wszystkie litery, wszystkie dane i później już wypuszczano do obróbki dla odpowiednich osób. Pamiętam ten pierwszy dzień, kiedy te "pasasy" kapałyśmy w wannie w jakichś środkach chemicznych. No, to jakiś czas trwało. Potym zostałam przetrzucona do jakiejś grupy, do jednostki zgrupowania porucznika - nazwiska nie pamiętam - "Zielonka" się nazywał. Potym z kolei następny był "Gołębek". Ciągłe jako łączniczka bez specjalnych poleceń. W okresie kiedy przyszli Niemcy, aha, jeszcze taka ciekawostka: w tym okresie, kiedy pracowałam, któryś z tych

Jadzia: /cd/. oficerów, miałam polecenie udania się na "Księży Młyn" z zanieśieniem jakiegoś meldunku i trafiłam wtedy właśnie do porucznika "Fruga". Wogóle pojęcia nie miałam, że po jakimś czasie, po kilku latach będzie to komendant III brygady "Szczerbiec" I w owym czasie też nią kojarzyłam tych 2 osób. Dopiero później, kiedy zaczęłam rozpamiętywać te rzeczy, to sobie przypomniałam, że rzeczywiście, to była ta sama osoba. Okres początku przyścia Niemców do Wilna był okresem, w którym ja byłam bardzo zajęta sprawami rodzinnymi. Byłam po za Wilnem, na Litwie. Tutaj nie włączałam się do żadnych akcji. Tym niemniej tam nawiązałam kontakty z młodzieżą polską na Litwie. W Kownie miałam kuzynów różnych tam. No, i to właśnie stamtąd pochodzą moje późniejsze kontakty z inspektorem "E". Już jako łączniczka "Szczerbca" podlegałam mu, ale moim dowódcą był "Adolf", podporucznik "Adolf". On był tym człowiekiem, który mnie skierował na tereny Litwy. Kiedy zakończyły się - ja powiadam, że ja w akcjach czysto wojskowych udziału nie brałam, poprostu pracowałam w służbie cywilnej. I tu chciałam jedną rzecz podkreślić: przynajmniej z mojego punktu widzenia - było tak: to wcale nie prawda, że my, łączniczki, takie bohaterki, że niczego nie bałyśmy się, szłyśmy na Hura! Jak sobie przypominam, to człowiek bardzo często bał się i to bardzo. I to pokonywanie strachu to było coś bardzo ważnego w życiu człowieka. Jak sobie przypominam, dla mnie było rzeczą początkowo - przechodzenie wieczorem przez ciemny las. Tego się bałam. I to opanowanie siebie było okropnie ważne. Człowiek zawsze jakoś się podnosił się na duchu. Po zakończeniu działań wojennych między Niemcami i Sowiecami i po zakończeniu działań naszych oddziałów, kolonii oczywiście, dowiedziałyśmy się jak wyglądała nasza sytuacja, jeśli chodzi o nasz Sztab. Internowanie naszych żołnierzy, partyzantów w Miednikach, my, służba cywilna, otrzymałyśmy polecenie rozproszenia się. Po jakimś czasie podjęłam pracę w Urzędzie Repatriacyjnym, w Wileńskim Urzędzie Repatriacyjnym i zostałam zastępcą Rządu do spraw repatriacji Polaków do Polski na rejon Wilno. Wtedy też podjęłam się pomocy w przeprowadzaniu różnych osób do Polski. Zanim do tego doszło, spostrzegłam bardzo dużo nadużyć w tych sprawach, repatriacji Polaków ze strony przedstawicielstwa litewskiego. Litwini, którzy tam oprócz Polaków również w tym Urzędzie pracowali, bardzo często szykanowali Polaków w sposób tak bezczelny i tak okropny, że ja nie wytrzymałam i musiałam reagować. I to był zasadniczy błąd, bo jeżeli

Jadzia: /cd/. szereg naszych pracowników był aresztowany. Chyba była już także aresztowana Olenka Wajsenhoffowa, Budzianowska z domu, która w naszym urzędzie pracowała. Patrząc na tego człowieka za oknem myślałam, bo liczyłam się z tym, że prawdopodobnie przyszedł poś. U nich był taki zwyczaj, że jeśli aresztowali pracowników, to nie robili tego nigdy w Urzędzie, tylko robili to na ulicy, po wyjściu z biura. Nie wchodzili do Urzędu. Chcąc sprawdzić, czy rzeczywiście na mnie czeka, wstałam z biurka i schowałam się za szafę. I wtedy natchmiast zobaczyłam głowę wpakowaną do okna. Więc już miałam pewność, że to jest tak. Wobec tego nie mogłam ryzykować żeby wyjść przez drzwi. A miałam, jak powiadam, do zakończenia bardzo ważne sprawy. Tylko ja jedna mogłam to załatwić. Wyszłam na zaplecze, poprosiłam jednego kolegę, którego w tę sprawę wtajemniczyłam. Powiedziałam, że ktoś tu jest, kto chce mnie zabrać. Wobec tego wyszliśmy do kuchni, na zaplecze i ja wyskoczyłam przez okno na daszek i stamtąd uciekałam. Wybiegłam na Pohulanę i już wydostałam się do domu. Stąd natychmiast po uprzedzeniu matki, że mnie chcą aresztować, pobiegłam do znajomych, prosząc abym mogła u nich przebywać w tym czasie. Ale sprawę, o którą mi tak chodziło załatwiłam. I ludzie ci, o których mi chodziło mogli wyjechać spokojnie do Polski. Ukrywając się tu i owdzie, przetrwałam 3 tygodnie. W międzyczasie załatwiono mi przejazd tranzytowy do Polski. Miałam nie figurować na żadnym z wykazów wyjeżdżających do Polski, jako t.zw. pracownik dyplomatyczny. Miałam jechać w wagonie służbowym. Muszę powiedzieć, że ten okres 3 tygodni ukrywania się fatalnie wpłynął na mnie psychicznie. Już nie mogłam znieść tego ukrywania się. Chciałam już żeby się coś wyklarowało. A poza tym ja miałam jakąś dziwną pewność, że ja wpadnę, bo już wszyscy moi siedzieli. Po 3 tygodniach otrzymałam te dyplomatyczne dokumenty. Pojechałam na dworzec. Jeden z kolegów mnie obstawiał. Dworzec Towarowy - tam miałam wsiąść do pociągu. Byłam z rzeczami. Miałam wsiąść do pociągu i jechać do Polski. Pech chciał, że był to pierwszy transport eskortowany przez pracowników Urzędu Bezpieczeństwa. A ten, który eskortował ten transport, to był ten Kuźniecowa, który miał ze mną rozmowę w Urzędzie Rep. Rzeczy swoje zostawiłam w wagonie służbowym, a sama, żeby się specjalnie nie pętać, przedostałam się do wagonu matki z dzieckiem i tam oczekiwałam na odejście pociągu. Ale, ponieważ tego mojego manewru niktbyz przyjaciół nie widział, więc chciałam ich prosto jakoś powiadomić, że jestem, że jadę w wagonie

Jadzia: /cd/. matki z dzieckiem, żeby mnie nie szukali, nie robili szumu. Kiedy wyszłam z wagonu, nie miałam sposobu żeby ich powiadomić, trafiłam okurat na Kuźniecowa. Ten mnie zatrzymał i pyta: "Co wy tutaj robicie?" Więc co miałam powiedzieć? Nówię: "Jadę do Polski". "Tak? A po co?" Liczyłam na to, że jak powiem, że tu wrócę, to może on dopiero po powrocie z Warszawy zechce mnie wziąć na dworcu. Wobec tego powiedziałam, że jadę do Warszawy i wracam za kilka dni. Jadę w delegację. Niestety, to mi się nie udało, bo Kuźniecowa powiedział: "No, dobrze. Ale narazie to my chcemy was zatrzymać, bo chcemy tam pewne rzeczy wyjaśnić." No, i zwołał 2 żołnierzy i Kuźniecowa polecił mnie odprowadzić do kolejowego aresztu. Wszłam wtedy z jednym z żołnierzy do wagonu słuźbowego. Tam była moja koleżanka. Ja powiedziałam mocnym głosem: "Sluchajcie, muszę zabrać swoje rzeczy". Koleżanka wyglądała i nie rozumiała o co chodzi, ja odsunęłam się i pokazałam jej stojącego za mną żołnierza. Więc podano mi plecak i zostałam odprowadzona do aresztu kolejowego. Zamknęli mnie w jakiejś klitce.

Tania: Gdzie to było?

Jadzia: Na Towarowym Dworcu. Taka mała komórka. Po odjściu pociągu odprowadzono mnie z tego pomieszczenia do następnego aresztu, który mieścił się chyba na ulicy Towarowej, czy na Wiwulskiego, gdzieś tam. Siedziałam w podziemiach. I rzecz była tego rodzaju, że ja miałam przy sobie bardzo dużo listów, które mi ludzie ponadawali. Takie małe liściki, żeby gdzieś tam komuś zanieść. Co miałam zrobić z tymi listami? Bałam się o tych, którzy te listy wysyłali i o tych, którzy te listy mieli odebrać. Wobec tego siedząc w areszcie, w kieszeni płaszcza te listy podarłam na drobniutkie kawałeczki. Niektóre były owinięte niteczkami. I odwróciwszy się od drzwi poprostu je zjadłam. Najgorzej było z połknięciem niteczek, ale zjadłam. Wówczas przyjechał po mnie jakiś oficer, nie pamiętam jego nazwiska - i zawiózł mnie, zabrał moją walizkę i plecak, i zawiózł mnie do urzędu UB na ul. O-Ofiarną. Tam rozpoczęło się pierwsze śledztwo, które trwało 48 godzin. Pierwszą dobę prowadził śledztwo ten właśnie śledczy. Podczas drugiej doby przyjechał właśnie z nad granicy Kuźniecowa. Obydwaj prowadzili to śledztwo.

Jadzia: /cd/. Śledztwo. Siedziałam przy biurku. Z dwóch stron silne reflektory świeciły w oczy. śledztwo prowadzono w ten sposób: raz pytano łagodnie, raz wrzeszczano, parę razy dostałam w ucho. Siedziałam cały czas na jednym krzeselku. Oficerowie wychodzili i czasem, po ukończeniu pierwszej doby śledztwa na jakiś czas

Jadzia: /ed/. na odpoczynek. Wezwali żołnierza, który miał siedzieć i pilnować mnie. Żołnierz siedział i nie pozwalał mi się zdrzemnąć. "Podnimi głowę" - wrzeszczał bez przerwy. Prosiłam, że powinnam pójść do ubikacji po tylu godzinach. Na to ten żołnierz - a okropnie wyglądał - taki krokodyl - powiedział: "Nie lizia". Ja mówię: "Jak to nie lizia?" "Jak przyjdą tamci i pozwolą, to zaprowadzę". "Co to znaczy : jak przyjdą i pozwolą? Tyle godzin siedzenia! Mam prawo pójść do ubikacji. Jeśli nie, to siadam tutaj i narobię wam na podłodze". Wtedy ten zamamrotał: "Nu tak ~~sukxi~~ chodzi". Tam kazał zostawić drzwi otwarte. No, i łaskawie stał tam z drugiej strony korytarza. Potym wróciliśmy znowu na śledztwo. Po 48 godzinach były te same pytania. Ale rzecz ciekawa, że ku końcowi śledztwa zjawiał się w sali jakiś oficer, szczupły, drobny, bardzo charakterystyczne: miał olbrzymie czarne wąsy, kto wie, czy nie przyklejone. W każdym razie, gdy mrużył oczy, to tylko te olbrzymie czarne krzakiki były widoczne. Gdy otwierał oczy to rzęsy sięgały brwi. I kiedy tamci ryczeli na mnie, grozili, wymachiwali pistoletem mi przed nosem, to ten był bardzo łagodny. W pewnym momencie, gdy tamci wyszli, to ten mi powiada: "Słuchaj, czy ty nie wiesz przypadkiem kto to jest Wilk? Czy Ty naprawdę nie wiesz?" "Wilk? mówię - to takie zwierzę, co chodzi po lesie". "A, mówi, to takie zwierzę na dwóch nogach. Ty jego nie znasz?" "Ja, mówię, wilków na 2 nogach nigdy nie widziałam". No, i natym rozmowa się skończyła. Potym on mi powiedział, że on chciałby mi coś dobrego zrobić, bo jemu jest mnie bardzo żal". To ja mówię: "Jak chcecie mi coś dobrego zrobić, to tam na szafie stoi pudełko z moimi papierosami. Tamci oficerowie mi je zabrali. Chciałabym zapalić papierosa. Mołecia mi to podać?" "Pożalusta". I podał mi te moje papierosy. Już mogłam palić. Po 48 godzinach jeden ze śledczych odprowadził mnie na Łukiszki. Wziął moją walizkę i plecak. Ja szłam. Szliśmy na Łukiszki przez plac Łukiszki. Była noc. Wtedy właśnie pomyślałam sobie : ten plac - ileż takich nóg jak moje po tym placu wędrowało tam i zpowrotem przez wszystkie te lata. A ten śledczy, co mnie prowadził, oświadczył, że odwiedzi moją matkę. Z resztą był bardzo grzeczny. Oświadczył też mi, że moją matkę też aresztują. No, więc, że odwiedzi moją matkę i że co na jej odemnie powiedzieć. Powiedziałam, żeby powtórzył, że ja się trzymam i trzymać będę. W więzieniu oddał mnie w opiekę starszej więziennej, poczym sam coś tam z nim pogadał i poszedł. Strażnicy więzienni

Jadzia: /cd/. Strażnicy więzienni zaspani, bo to była noc, zabrali się do rewizji moich rzeczy, ale ponieważ w plecaku wiozłam litr spirytusa, jako monetę wymienną w Polsce, to dorwali się do tego spirytusu i już nic nie widzieli, wszystko zostawili, tylko schwycili ten spirytus. Walizkę też mi zabrali, więc ja wszystkie swoje rzeczy władowałam do plecaka. Odprowadzono mnie do pojedynki. Siedziałam w tej pojedynce i zupełnie się nie orientowałam jak to wszystko będzie przebiegać. Z nikim nie miałam kontaktu. Ci bez przerwy ryczeli. Nie miałam żadnej orientacji w jakim kierunku wogóle to całe śledztwo pójdzie. Za dużo wiedziałam. Bałam się, że zaczną mnie bić, że zaczną sypać. Nie ścierpię bólu. Miałam przy sobie 20 ampułek morfiny. To też wiozłam jako monetę wymienną. Postanowiłam popełnić samobójstwo. Postanowiłam całą tę morfinę zażyć. Miałam kubeczek. Rozbiłam 5 ampułek i miałam już wypić, gdy w tym momencie stanęła mi w oczach moja mama. Sama zupełnie. Przecież jeden brat zginął, drugi aresztowany. Pomyslałam sobie: "Nie, przecież muszę to wszystko wytrzymać i wytrzymam, bo ja muszę przecież zobaczyć się z mamą." I taki poczuła szalony pęd, że trzeba żyć. Te rozbite ampułki wyrzuciłam do paraszy. Jeszcze tam drobno posiekałam. Wtedy zaczęłam konkretnie myśleć co robić i jak robić. Jakoś tak uspokoiłam się. Zaczęłam już spokojnie myśleć. Ale jeszcze nie liczyłam się z tym, że teraz, zaraz ktoś wejdzie, że ktoś tu do mojej celi wejdzie i znowu pociągną mnie na śledztwo, znowu będę pytana, znowu będzie jakieś zadanie. Co robić? Przypomniałam sobie, że ja mam w Alizce kupę fotografii, robionych w ostatnim okresie z różnymi ludźmi znajomymi. Bałam się, że o tych ludzi zaczną mnie pytać, gdzie są, jacy są. A trzeba było ograniczyć się do jakiegoś minimum. I wtedy postanowiła te fotografie utopić w ubikacji. Podarłam je na drobne części w kieszeniach płaszcza i zaczęłam bębnić do naczelnika, żeby mnie puścił do ubikacji, do ubornej. Więc oczywiście mnie od tej ubornej zaprowadził, ja zamknęłam drzwi i te porwane kawałki fotografii wrzuciłam do sedesu. I jak na złość, na biedę te kawałki fotografii pływały w wodzie. Wobec tego - to był odruch - nie namyślając się wiele, zgarnęłam z tej wody resztki tych podartych fotografii i zjadłam. Zjadłam. I uspokojona już poszłam do celi. W czasie śledztwa zarzucano mi że ja zrywam planową ewakuację. To był pierwszy zarzut wobec mnie. A po drugie, że ja współpracuję z bandytami, czy z faszystami. Jeżeli chodzi o zrywanie pla-

Jadzia: /cd/. nowej ewakuacji, to nie bardzo wiedziała co to znaczy. Myślny nie wiedzieli co to znaczy planowanie ewakuacji. Współdziałanie z faszystami - no, to też - co to znaczy? Gdzie? Jacy faszyci? Narazie ni więcej, o niczym więcej nie mówili. I kiedy tak siedziałam w tej pojedynczej celi nazajutrz stknęły drzwi obok i ktoś wszedł do celi sąsiedniej. A ponieważ powiedzieli mi, że moją matkę też aresztują, więc myślałam, że przyprowadzili moją mamę. Myślałam, że tam jest moja mama. Usiłowałam dostukać się do niej, ~~ale~~ przez ścianę, ale ten ktoś nie odpowiadał. Wiedziałałam, że kobieta, bo płakała cicho. Nie miałam możliwości skontaktowania się. Po pewnym dłuższym czasie wezwano mnie na śledztwo. Śledztwo prowadził jakiś kapitan - nie pamiętam nazwiska. I znowu te same pytania. I odprowadzili mnie. Po kilku dniach wziął mnie na przesłuchanie kapitan Daniłow. Pamiętam nazwisko. I wtedy tenże kapitan Daniłow powiedział, że on wie, że ja byłam w AK, że ja pracowałam w AK. I, że to nie jest żadne przestępstwo. I wtedy ja sobie pomyślałam, że co mi będą zwracać głowę - wyjawiałam. Powiedziałam, że owszem, byłam w AK. Powiedziałam jak się nazywałam. I powiedział, że jest mu też wiadome, że ja pomagałam przez Urząd Repatriacyjny w przetrucaniu Polaków do Polski. Ponieważ kojarzyłam sobie to z tym, że Litwini, z którymi załatwiałam sprawy przecież nie są pewni, ~~więc~~ i, że tam były osoby, wobec których miałam podejrzenie, że podpatrują co ja robię, więc zdecydowałam się nie tu specjalnego nie ukrywać. Powiedziałam: "Tak, owszem." "A jak ich nazwiska?" "Tego, powiedziałam, nie wiem, bo to były przypadkowe nazwiska i że mogę tylko powiedzieć pseudonimy tych ludzi." Powiedziałam jakieś tam pseudonimy, nie wiem jakie. Na tym skończyła się sprawa. W międzyczasie zaczęto podpytywać o moją osobę całą naszą grupę. Miałam oczną stawkę z jedną z moich dziewcząt. Oczywiście pokazano mi ~~też~~ tę dziewczynę. Powiedziałam oczywiście, że pierwszy raz widzę tę dziewczynę. To był Daniłow, bo on wtedy prowadził śledztwo. Więc że nie znam jej wcale. A on mówi: "A ona was zna". "Być może ona mnie zna, ale ja jej nie znam". "A jeśli ją tutaj przyprowadzimy i ona powie, że was zna?" "No, to jeśli ją przyprowadzicie, to ją zobaczę, to niech przy mnie powie, że mnie zna". Wiadomo było, że oni w tych ocznych stawkach bardzo często udawali, że przyprowadzą kogoś na tę oczną stawkę. I rzeczywiście przyprowadzili Walę Dani-

Jadzia: /cd/. Łowiczówną. Właśnie Wala blada. Biedna była bardzo. Irzyznała się do znajomości ze mną. Byłam na nią okropnie wściekła. Ale śledczy o tyle się nie połapał, że on Walę pytał, gdzie mnie spotkała, jakie były nasze kontakty i o co chodziło. I stąd ja się zorientowałam o co chodziło. Stąd orientowałam się co Wala powiedziała, więc tylko potakiwałam. I koniec. Nikogo to nie obciążało. Później były inne różne oczne stawki. W efekcie zostałam włączona do tej swojej grupy. Aha, a w międzyczasie, kiedy już Daniłow przejął śledztwo, pewnego dnia o godz. 11-ej, późnym wieczorem otworzyły się drzwi i do mojej celi wszedł ten oficer śledczy, który nabył to był taki dobry, z tymi wielkimi rzesami. Wszedł, kazał strażnikowi wyjść za drzwi. Sam wszedł, przywitał się ze mną podając mi rękę i oświadczył, że on tu przyszedł z niezbyt miłą misją, ponieważ przyniósł nakaz aresztowania mnie. Bo dotychczas byłam zatrzymana, teraz jestem aresztowana pod zarzutem jakichś tam - nie pamiętam - i odczytał ileś tam paragrafów, dużo. No, i podpisałam, że jestem aresztowana. I ja mówię: "Proszę mi powiedzieć w takim razie co mi grozi na podstawie tych wszystkich paragrafów?" A on mówi: "No, cóż musicie się przygotować, że wywozą was na daleką północ do białych niedźwiedzi. A wyrok - przynajmniej 10 lat." "Jakżesz to? Za co? Przecież ja przeciwko Zw. Radz. nie mam żadnych przestępstw". "A ja wam radzę, żebyście się przygotowali do wyjazdu, żeby nie przez zaskoczenie tam jechać." No, i zaczął mi opowiadać jak ta daleka Północ wygląda, jak to tam wspaniale. Ja muszę powiedzieć, że ja byłam bardzo zadowolona, że on siedział w mojej celi. To był pierwszy człowiek, który o nic mnie nie pytał, a siedział i opowiadał. Wreszcie położył na stole jakieś papierosy: "Ja pamiętam, że wy palicie - mówi. Ja już muszę iść, więcej was nie zobaczę, ale chciałbym zapytać czy może macie do mnie jakąś prośbę. Chętnie ją wam załatwię." " Ja mam, tak, mam jedno: żebym została wyprowadzona z tej pojedynczej celi". "Dlaczego?" "Ja chcę być razem z innymi ludźmi". "No, to poproście komendanta oddziału, żeby was przeniósł do innej celi". Ja mówię, że jeśli go będę prosić, to to będzie długo trwało a ja już nie mogę tutaj sama siedzieć. Ja muszę stąd wyjść. Ja nie chcę tu siedzieć. Jeżeli mi chcecie pomóc, to proszę mi to załatwić." On powiedział: "Dobrze, załatwię to wam." Podziękowałam mu za to. I on mi powiedział taką dziwną rzecz: "Może ja nie jestem taki zły człowiek, jak wam się wydaje. A może mnie los zmu-

Jadzia: /cd/. zmusił do tej pracy. A my już więcej się nie zobaczymy". i wyszedł.. I rzeczywiście, 10 minut potem przyszedł korpusnoj i kazał mi się zbierać z rzeczami. Zostałam przeprowadzona - w nocy to było - na II korpus. Bo ja siedziałam na I-m. To było wszystko na Łukiszkach. Trafiałam do celi ogólnej. Tam się spotykałam w Wilą i innymi dziewczynami. Byłam bardzo szczęśliwa.

Tania: Jaki to był miesiąc?

Jadzia: To był chyba wrzesień, koniec września. W każdym razie byłam szczęśliwą. No, już wiedziałam, miałam orientację gdzie, co, jak i t.d. W krótkim czasie myśmy już się przestukiwały przez ściany, już nawiązałyśmy kontakty. Wiedziałyśmy o co chodzi. W krótkim czasie całą naszą grupę zebrano z Łukiszek, dlatego, że myśmy wszyscy byli porozsypany w Łukiszkach i wstystkich nas już w grupie przeprowadzono na Ofiarną. Tam umieszczona nas po kilka do różnych cel. Na Ofiarnej warunki lepsze były niż na Łukiszkach. Tam było ciasno, zimno. Leżałyśmy przecież na waleta w tych celach na ziemi, na betonie. I takie charakterystyczne, że jak weszłam do tej celi ogólnej wtedy w nocy to tam zaraz dziewczyny zaruszały się i zaczęły pytać: a kto? a co? Jedna z nich mówi: "Słuchaj, ty jeszcze pachniesz wolnością". Poprosto jak złapali tę butelkę spirytusu, bo zapomnieli mi zabrać wszystko. Ja miałam też wodę kołońską. Dziewczyny zaczęły się oblewać tą wodą i były takie szczęśliwe przez ten moment. Pachniałyśmy wszystkie wolnością. Ale to bardzo szybko się skończyło. Nazajutrz wyredzono nas do łańi, w celi zrobili rewizję, wszystko pozabierali. Tak, że byłam jak wszystkie inne. Więc po pewnym czasie zaprowadzono nas na Ofiarną. Tutaj porozrzucano nas do różnych cel. Na Ofiarnej siedziałam w celi z Wandą Zdrodowską i Basią Dudycz. Basia Dudycz już 8 miesięcy siedziała podczas śledztwa. I rzecz ciekawa: z Basią Dudycz była Hania Naborowska. Zaraz w każdym razie Basia Dudycz siedziała 8 miesięcy i przez 6 miesięcy zwozdiła ich w sposób niesamowity. Wreszcie trafiła w ręce jakiegoś śledczego, który przez 2 miesiące każdą noc wzywał ją do siebie. W ich domu została wykryta skrytka z dokumentami. Zamurowana. No, więc ją tam naglował. Basia była blada, jak śmierć, bo przecież każdą noc chodziła na śledztwo a w dzień nie pozwalali spać. Ale, jak twierdziła, Kostia, bo Konstanty, był też jej śledczy i nazywała go Kstia. I jej Kostia tak samo był wychudzony jak ona, bo on też każdą noc nie spał. My w naszej celi starałyśmy się utrzymać jakiś dobry nastrój. Jeśli któraś wracała z ciężkiego śledztwa, to się ją smarowało, rasowało.

Jadzia: /cd/. Staraliśmy się stwarzać jakiś nastrój w celi, żeby się podtrzymać wzajemnie. Wanda Zdrodowska zrobiła Basi Dudycz z chleba taką wychudzoną trupa czaszeczkę. Baśka złapała tę czaszeczkę i mówi: Ależ ty zrobiłaś mi mojego Kostię. Chodź, Kostuniu, w nocy jesteś ze mną, to i w dzień bądź". Wsadziła go do kieszonki swojej sukienki. W celi naszej było towarzystwo mieszane, polsko-litewskie. Ale powiadam: myśmy siedziały za AK i delegaturę a Litwinki za Lieturas. Sympatyczne były dziewczyny. I bardzo solidarnie jakoś działałyśmy w tej celi. Tak, że nawet wpuszczono do naszej celi konfidenta, stukaczkę, polkę jakąś. Maria się nazywała. Myśmy ją nazywały Krasnaja Mańka. Rozszyfrowałyśmy ją bardzo szybko. I tak jej dopiekałyśmy, że ona sama poprosiła, żeby ją zabrać z naszej celi. No, wogóle miała z nami ciężkie życie. Szybko ją zabrali z naszej celi. Dziewczeta jej żyżkę schowały, więc poszła bez żyżki. To było na ofiarnej. A ciężka sprawa być bez żyżki. Tak to trwały nasze śledztwa. A wogóle, to cudowna była ta nasza cela. Wspierałyśmy się kapitalnie wzajemnie. Kontakty miałyśmy ze wszystkimi. Wreszcie śledztwa były zakończone. Wzywano nas na odczytanie spraw. No, i po dłuższym okresie spotkaliśmy się wszyscy. Zaprowadzono nas na górę dla odczytania sprawy. Widzieliśmy się wszyscy razem. Było to dla nas ogromne przeżycie. Mężczyźni nasi robili straszne wrażenie. Ja już nie pamiętam ich nazwisk w tej chwili. Ale Jurek, Jurek, nie pamiętam, Michałowski miał odbite coś tam z tyłu. Był strasznie bity. Trzęsły mu się ręce, nogi, głowa mu tek latała. Mężczyźni byli brani latem. Byli tylko w letnich ubraniach, a to już była późna jesień. Odczytywanie sprawy trwało 2 dni. No, i my jak wracaliśmy do celi, to staraliśmy się tym naszym mężczyznom coś przygotować. Wiedzieliśmy, że to jedyna okazja żeby im jakoś pomóc. Nie pamiętam z czego ale jakieś onuce, chustki do nosa z przedzieradeł. W każdym razie przy drugim spotkaniu te dary im ofiarowałyśmy. I proszę sobie wyobrazić, rzecz nie spotykana. My po odczytaniu wyroku na drugi dzień - powiadam, że mężczyźni wyglądali strasznie, zmaltrretowani. Dziewczyny trzymały się znacznie lepiej. Alw, słuchajcie: nas wszystkich, całą naszą grupę przyprowadzono do jakiejś sali, w której był stół bogato zastawiony: chleb, herbata, jakieś tam zakąski. A ci śledowaciele nam usługiwali nam wszystkim, ci oficerowie częstowali nas, żebyśmy jedli. Mnie wszystko stało w gardle. Mężczyźni jedli. Byli głodni. Niektóre dziewczyny też jadły. Ja nie mogłam. W każdym razie ci nasi śledczy, którzy prowadzili

JANZLA: cd./ śledztwo nagle tacy dobrzy się zrobili. I kiedy jeden z nich podszedł do mnie i pyta dlaczego ja nie jem, powiedziała: "Ja nie mogę i nie chcę. Mnie wystarcza tego, co ja otrzymuję w celi. A jeśli można, to proszę oddać moją porcję jednemu ze naszych kolegów." Pozwolił, więc oddałam, a on zjadł, biedny. Na tym skończyło się odczytywanie. Aha, w międzyczasie dowiedziałam się, że nieprawda jakoby moja mama miała być aresztowana. Dostałam od niej paczkę z jej podpisem. No, i w krótkim bardzo czasie po odczytaniu wywieziono nas na Łukiszki. Tam byliśmy wszyscy chyba z tydzień. Po tygodniu zawieźli nas do sądu na ostateczną rozprawę sądową. Przy czym ten-że Daniłow kiedy ja go zapytałam: Ale właściwie proszę powiedzieć co wy z nami zrobicie, przecież my nie mamy tu wobec was żadnych przewinień. Myśmy walczyli z Niemcami". Odpowiedział: "Ja daję wam czestne słowo sowieckiego oficera, że my was oddadźmy polskim władzom". Ja mówię: "W jaki sposób?" "W ~~niektórych~~ poplombowanych wagonach odeszliśmy was do Polski." No, a później sąd. Przewieziono nas na Arsenalską ulicę do Wojennego trybunału. Pierwszego dnia wieczorem nas wieźli i tam z nami rozprawiono się. Pierwszego dnia było znowu odczytywanie jakiegoś tam w sądzie sprawy i odwieziono nas do więzienia. Na drugi dzień znowu nas przywieziono na rozprawę. Ostateczną już. W tym dniu moja matka dowiedziała się w jakiś sposób, że my jesteśmy w Wojennym Trybunale. Zresztą rodzice innych dziewcząt też, więc przedarły się do tegoż Trybunału na schody i nam popodrzuciły paczki. Ja - kiedy zobaczyłam mamę w rogu, wyrwałam się z pod konwoja, podbiegłam do mamy i zaczęłam ją strasznie całować po rękach. Ale zaraz mnie schwycili i znowu wstawili do szeregu.

Tajna 2 ~~nie~~ spisane

Teżna IV - str. 2 "2".

Jadzia H.: Praca moja w obozach była dość różnorodna. Zaczęłam ją od pracy w lesie, wykonywanej na 110 kolonii, na którą dostałam się z "pieriesylocznego" z Pietszory. Tutaj zajmowałyśmy się "drow-zagotowką" dla całej kolonii. Kolonia nasza składała się z czterech brezentowych namiotów, w których mieszkaliśmy, kuchni drewnianej, drewnianej łaźni i wartowni. Dla tych wszystkich pomieszczeń musiałyśmy przygotować opał, a jeśli chodzi o namioty, to wiadomo, że trzeba było bardzo intensywnie palić, żeby jakąś taką temperaturę utrzymać. Wobec tego chodziliśmy do lasu na tę "drow-zagotówkę". I ostatecznie nie tak to już ciężko było, te drzewa spuszczać, kiedy się do nich, do tej pracy przygotowało, a najcięższe było przynoszenie tego drzewa do zony. Bo coraz dalej szliśmy w las na te wyręby i coraz dłuższa droga była z przynoszeniem drzewa. Tak, że pewnego razu, kiedy zabłądziłam w zadykę z dwoma bierwionami na ramionach, bo zawsze się wybierało najgrubsze drzewo, żeby jak najwięcej i jak najszybciej przynieść - wędrowałam po tym lesie, brnęłam po kolana po tym śniegu i wciąż z tymi bierwionami. Później trzeba było te drzewa porąbać i poroznosić po barakach. I była rzeczywiście robota bardzo ciężka. No, tutaj taka mała ciekawostka: w tych naszych brezentowych barakach, kiedy się dobrze napaliło, było bardzo ciepło, ale rano bywało różnie. I kiedyś rano leżałam koło Władzi Zdrodowskiej, podnoszę - miałam takie warkocayki - podnoszę głowę i nie mogę jej jakoś podnieść wyżej. Pytam: "Władziu! zobacz, co się stało z moją głową?"

Jadzia H.: Ona podniosła się i tak tym swoim zajęczym pyszczkiem mówi: "Warkocze Ci przymarszy do ściany." - No, jakoś tam oddechowała, oblała wodą i te warkocze odesszy, no, chustkę na głowę się nałożyła i poszło dalej. Po pewnym czasie jednak zmieniłam zawód i pracowałam na kolei. Więc to były różnego rodzaju prace. Przede wszystkim rozkopywanie śniegu z szyn, bo to był okres zimowy; odbijanie lodu z tych-że szyn. Ponieważ wkrótce wyjechałyśmy na "okołodak" 110 kolonii, tam pracą naszą zasadniczą była konserwacja odcinka kolejowego. Więc to - jak mówiła Haneczka - wymiana podkładów, wymiana szyn, później tam jakieś ...

Ktoś: ... nocowanie.

Jadzia H.: Tak, nocowanie i tak dalej. Ponieważ majster tego "okołodka" zawsze miał na tym "okołodku" dziewczyny i urządził sobie taki proceder, że w każdą sobotę mieszkające w niedalekim osiedlu wojskowym nadzorującym astrafońską kolonię męską, sprzedawał swoje pracownice w żony za wódkę. No, po przyjeździe naszym ten proceder i ten dochód się urwał, bo mimo kilku prób swatania wcale nie wybrednego nas, nie z tego nie wyszło. Wobec tego majster się wściekł, tak samo jak i brygadziści i goniono nas do najcięższej pracy. I taką straszliwą pracą było w niedziele przygotowanie drzewa i wody na cały tydzień. Jak to wyglądało? Na lory ładowano całą kupę beczek, kilka tam beczek. Na tych beczkach, na górze, zasiadał dziesiętnik Iwan z czerwoną chorągiewką w ręku, a my - nas tam sdało się było sześć czy osiem, po cztery z każdej strony lory - masiałyśmy

Jadzia H.: Jak najszybciej tę lorę pchać po torach do stacji kolejowej, gdzie była wodokraczka. Iwan, siedząc z czerwoną chorągiewką na beczkach, krzychał: "A mi! a mi! a mi!" - i my biegiem, cwałem, leciałyśmy do tej wodokraczki. Tam trzeba było beczki napełnić wodą i już z wodą, Iwanem i czerwoną chorągiewką przewoziło się to tą samą drogą do "okołotka" i znów: "A mi! a mi! a mi!" - I znów biegiem. Dlaczego biegiem? Bo chodziło o to, żeby trafić między przejeżdżającymi pociągami. Jeżeli się trafiło na zbliżający się pociąg, lorę natychmiast zrzucić trzeba było razem z beczkami z toru i zacząć wszystko od początku. I w ten sposób przewoziłyśmy wodę i zaraz-że, natychmiast zaprzęgałyśmy się do lory i jechałyśmy w przeciwnym kierunku po opał. Jako opał służyły zużyte szpały, podkłady, które trzeba było załadować, jak najwięcej na lorę. Znow ładował się na szpały Iwan z czerwoną chorągiewką i znów krzychał: "A mi! a mi!" - A myśmy to pchały pędem i to cały czas biegiem. To było coś okropnego. Przybiegałyśmy do sony nieprzytomne. Padałyśmy prosto w śnieg. No, i zaczynało się: klął, rycał. A my musiałyśmy teraz te podkłady zrzucić z lory wszystkie, lorę też przerzucić na drugą stronę, no, a tam inna grupa rębała to drzewo, przygotowywała to drzewo. A my musiałyśmy odnosić. Ciężko tam było bardzo na tym "okołotku". Tymbardziej, że zaczął przypływać się do nas szakorbut. Ja muszę powiedzieć, że ja od samego początku, od samego punktu pieriesyłocznego, tak jak i Hanecaka, nosiłam na grzbiecie I-szą kategorię zdrowia.

Jadzia H.: A tu skorbut, nogi w ranach, puchną i trzeba było w takim stanie pracować. Nie szczędzono nas absolutnie, odwrotnie - bardzo nam dokuczano, żeśmy dochodu państwu nie przysporzyły. No, po takich pracach - jeszcze jeden taki moment ciekawy. Z jedną z koleżanek wysłano nas na dokręcanie "gojak" ...

Anielat ... nakrętki.

Jadzia H.: ... na szrotnicy, dokręcanie nakrętek. Ale najpierw trzeba było wykilofować łódź, żeby do tych nakrętek się dostać. Jakiś z koleżanką wszystko wykilofowały, te nakrętki dokręciliśmy, mogliśmy wracać do domu, ale - siedzieliśmy na szynach i nie mogliśmy się podnieść. Siedzieliśmy na tych szynach, już ciemno się robiło, a koleżanka takim cichutkim głosem mówi: "Patrz, Armia Krajowa zupełnie zeszła z sił." - z tego "okołołka" już w stanie bardzo ciężkim, bo skorbut szalał - miało się ku wiosnie -46-go roku - zaczęłyśmy się kolejno dostawać do szpitala w Il-ju ze skorbutem. Ja miałam bardzo ciężki skorbut, w wyniku którego w ogóle nie mogłam chodzić. Leżałam pod tą raną z drutu, na którą narzucono prześcieradło, bo byłam do pasa jedną galaretowatą masą. Dzięki wspaniałemu człowiekowi, starszemu lekarzowi, ordynatorowi korpusu, udało mi się z tego wyjść. On osobiście mnie leczył. Ale to jest sprawa inna. Byłam w tym szpitalu cały rok. Stan mój zresztą zaczął się poprawiać i to mocno. Zarazabrałam nieci ruch. Było w owym czasie sporo Polaków. Myśmy tam kontakty zaraz ponawiały. I ja trafiłam do grupy amatorskiego zespołu artystycznego.

Jadzia H.: I ja wyspecjalizowałam się w gwizdaniu, więc gwizdałam na scenie. I tam jeden z felczerów, zresztą dziennikarz moskiewski, bardzo przyjemny, kulturalny pan, po jednym z moich gwizdających występów, podszedł do mnie i mówił po rosyjsku: "Wiele rzeczy o Pani mogłam myśleć, ale że Pani będzie gwizdać, to mi nie przyszło do głowy. Moje gratulacje." - Ponieważ w prystępie oburzenia obikam po mordzie jednego z urzędników wyższych szpitala, w bardzo szybkim czasie po tym wypadku zostałam odesłana na "sztraf-kolonie", która się znajdowała w niedalekiej okolicy tegoż szpitala. Tam trafiłam na roboty ziemne. To już było ostatnie dno. Kopaliśmy otwarty tunel w górze Wieliowiskiej, bo to była miejscowość Wieliów. Kopaliśmy w glinie. No, tutaj poszły w ruch: łona, tacaka i kilof. Horay nie wykonywał nikt, wobec tego nie otrzymywaliśmy chleba takiego, jak się należało. No, sjeżdżało się w sposób niesamowity z sił i z kondycji jakiejkolwiek. Przyczyną dodatkowym elementem było jeszcze to, że trafiłam między same kryminalistki. Z tymi kryminalistkami na tej sztrafnej kolonii tkwiłam najpierw na tych robotach ziemnych, potem - ponieważ bardzo już osłabłam - więc nas przeniesiono na roboty śniegowe. Potem razem z tymi kryminalistkami zostałam przegnana na podkolonie, 10 kilometrów od tego miejsca, też na roboty śniegowe. Ale tam to towarzystwo było tak przerażające, że za wszelką cenę chciałam się stamtąd wydostać i wydostałam się. Zrobiłam sobie "nastyrkę", poprostu, i dzięki temu mogłam wrócić na macierzystą kolonię i tutaj dostałam się do innej brygady, bo w międzyczasie przyszło

Jadzia H.: nieco Litwinów i Ukraińców. Były też Polki, ale mało. Jedna, dwie. I wtedy zaczęłyśmy pracować znów w śniegu. To znaczy oczyszczanie toru kolejowego, a przede wszystkim robienie w śniegu, kopanie w śniegu tzw. kurwiotów. To to były takie kanały do ścioku wody w czasie wiosny. Ta robota może nawet nie byłaby aż tak ciężka jak poprzednia, ale dobiły nas "wiertuszki". Zaczął się okres "wiertuszek", to to nocne szrywianie nas na te "wiertuszki". W 15-tej minucie trzeba było jedną łopatką dwóch osobom oczyścić. Później oczyścić garby. I takich "wiertuszek" było dwie i trzy w nocy, co nas zwalniało od normalnej, całonocnej pracy. "Wiertuszki" nas jeszcze bardziej wykończyły. Wobec tego trafiłam na roboty dla takich, co to się jeszcze nie nadawały do szpitala, ale już do żadnej innej pracy też się nie nadawały. Było to tzw. wodo-borba. O czym takim świat chyba jeszcze nie słyszał. Brygada stawała wieczorem nad tymi transzejami, któreśmy poprzednio kopały, z łopatkami. Przez transzeje przepływał topniejący śnieg, woda przepływała i całą noc miałyśmy łopatkami tę wodę przeganiać. No i oczywiście sprawa, że to wyglądało tylko tak w teorii; w rzeczywistości - tylko póki tam jakiś taki ruch był na torze, to się kopało, przeganiało tę wodę, potem rozpalaliśmy ognisko, rozkładaliśmy buszłaty i na tych buszłatach przy tych ogniskach spałyśmy, mając wartowniczkę, żeby tam się nic nie stało. Rano wartowniczkę nas budziły, brygadziarka kazała nam jeszcze trochę pokopać tej wody i później już wracałyśmy do szopy.

Jadzia H.: I to była rzeczywiście najlepsza praca z tych wszystkich, ale ja już ważyłam tylko 45 kilogramów. Już byłam w stanie ostatecznego wyczerpania jak i większość kobiet. No, i przyjechała komisja lekarska, która zakwalifikowała mnie, właśnie mnie, na "proiswodstwennyj oddych". Skierowano nas na ten "proiswodstwennyj oddych" do wielkich krawieckich zakładów, w których też pracowali więźniowie. Tym ten "proiswodstwennyj oddych" odbyłam i tam potem pozostałam, pracując w tym "poszywocznom kombinacie". Szefem kombinatu był - jak popraednio mówiłam - Węgier, który mieszkał w Polsce, pan Lipocy. Brygadzystą był Polak, AK-owiec z Grodna, Romek Roztworowski, no i dzięki temu można było jakos egzystować. Tym nie mniej trzeba było w okresie szczytowym odmachać 22 pary kalesonów w ciągu jednej zmiany. Pracowaliśmy na trzy zmiany. Ale to później strzeliło mi coś do głowy, żeby się oderwać od maszyny i zaczęłam tak: zrobiłam kilka małych laleczek z drutu i szpulki. To była pierwsza Chinka, Chineszka pod parasolem i Krakowianka trzymająca się za spódniczkę. I to się szalenie władzom podobało i zaproponowano mi, żebym jak najwięcej takich lalek porobiła. I rzeczywiście, zabrano mnie od maszyny i ja zaczęłam wymyślać te laleczki różne. Więc robiłam tego bardzo dużo. Dano mi Ukrainkę do pomocy. Była z tych rzeczy zrobiona wystawa w Pieszczorze. Do Pieszczory zostały zawieszona te lalki. Ale - niestety - nie udało się na szerszą skalę tej produkcji rozwinąć. Pro prostu rozdano to, co było i nikt tych lalek więcej nie chciał.

Jadzia H.: Po tym okresie dostałam się do innego szpitala na krótko, stamtąd dostałam się za Pieczorę, pracowałam przez jakiś czas w sow-chozie, najpierw przy kapuście i ziemniakach, a potem przez jakiś czas pracowałam na rzece, na Pieczorzce. Myśmy wtedy z rzeki wykławiły te bierwiona, które na rzece w tych satoczkach się zatrzymywały. Tylko że myśmy były ubrane w takie gumowe buty, które się przywiązywało do pasa. I w tych butach, stojąc w wodzie, takimi hakami wyciągałyśmy te bierwiona na brzeg. A to było już ku jesieni, więc ta praca była szkodliwa. I tak się to przeciągnęło do -51-go roku, w którym trafiłam już do Abieś do SPEC-obozu. No, moim zdaniem - pracy w SPEC-obozie nie można porównać z pracą w obozie bytowym, po prostu, że to było "produkcja" i prace na wielką normę. No, jednak w tych SPEC - to różnie bywało. Tu miałam różnorodną pracę, bo pracowałam i w pracowni robót ręcznych właśnie dzięki swoim lalczkom, miałam później przez jakiś czas nawet zabaweczki dla dzieci wymyślałam. To były lalki jakiegoś mi się rusażące lepki i zajaczkami. Potem właśnie z Hanią coś haftowałyśmy, wyszywałyśmy jakiegoś firanki. Ale z tej dobrej pracy ciągle byłam ruszana przez tę nieszczęsną I-szą kategorię. Ciągle byłam odrywana. Ja tu nie mówię o tych reżimach różnych, tylko o pracy.

Aniela: Tak.

Jadzia H.: Więc kiedy - byłam właśnie z tą I-szą kategorią - kiedy jakaś komisja przylatywała, wyganiano nas na torf. To była okropna praca.

Jadzia H.: Na zasadzie swijania dywanów te pasy się skręcało, podejmując siekierą z drugiej strony. Ponieważ pod tą trawą była mokra ziemia i mokra podmarznięta ziemia, więc te buty były ciągle, wiecznie były mokre. Nie było ich gdzie wysuszyć, więc my przeważnie zdejmowałyśmy buty i boso szły po tej smarszniętej ziemi. Potem znów wracałam do tej "poszywocznej" i odchodziłam, trzykrotnie byłam na sianokosie jak Hania mówiła. Wreszcie się zbuntowałam, bo uważałam, że mam dość tego prawowania ciężko i znalazła się okazja, bo przeniosłyśmy się wtedy z II-go OLP-u na V-ty czy na III-ci.

Ktoś: Na III-ci.

Jadzia H.: Na III-ci. III-ci OLP był pozostawiony przez mężczyzn. Tam byli przedtym mężczyźni. Na III-cim OLP-ie była elektrownia. Zapotrzebowanie było na pracowników elektrowni. Zorganizowany został kurs dla "koczezarów" i maszynistów. I ja się na ten kurs zgłosiłam. Po ukończeniu kursu rozpoczęłam pracę jako maszynista w tejże elektrowni. Przy czym kurs był dla "koczezarów" i maszynistów i podrzucania węgla do paleniska trzeba się było uczyć i tak tych wszystkich innych rzeczy. Rzecz ciekawa, że się przed tym zupełnie nie znałam na tych narzędziach różnych i musiałam tak - jak słówka łacińskie - wbijać sobie w głowę wszystkie nazwy rosyjskie tych narzędzi. I dzisiaj mam wielkie z tego powodu kłopoty, bo ja nie mówię "śrubokręt" tylko "odwiertka".

Anielas: Tak jak ja mówię zawsze "plintus" a nie ...

Jadzia H.: ... a nie listwa.

Anielas: ... listwa. Ja nie potrafię.

Jadzia H.: Więc to wszystko było takie i na przykład nie "prokurator" tylko "prokurator". No i tutaj na elektrowni karierę - moim zdaniem - zrobiłam zawrotną; dlatego, że najpierw byłam maszynistką, a po pierwszej występie przez ówczesną kierowniczkę elektrowni od sieci i wiary odebrana, bo coś tam znajstrowałam nie-tak, a ona powiedziała, że to sabotaż. Właścicielka taka sama jak ja.

Ktoś: Kto był tą maszynistką? nie pamiętasz?

Jadzia H.: Kierowniczką, oczywiście, pamiętam. Olga Iwanowna Iwanowa. Więc ona mnie zbawiała w straszny sposób, że to jest sabotaż, że to jest dywersja i tak dalej, że dostanę dodatkowy wyrok. A ja po prostu, no teoria - teorią, a po prostu coś tam znalazłam. Ale uspokoiło się to wreszcie i ja pracując maszynistką, po pewnym czasie zostałam brygadzistką tam-że na elektrowni. A po wyjściu Olgi Iwanownej, ówczesnej kierowniczki elektrowni, na wolność przypadkową, bo wtedy była rewizja procesów i ona została archiwizowana i cała jej klika - więc ja zostałam kierowniczką elektrowni i sieci wodociągowej na OEP-ie. To już było przy III-cim BWP-ie. No i wtedy to już była kariera zawrotna. A wyspecjalizowałam się jeszcze w zmienianiu podkładek w kranach.

Ktoś: ... uszczelki.

Jadzia H.: Tak. W wymianie uszczelki wyspecjalizowałam się sama. A szczególnie uszczelki w kuchni bardzo szybko się psuły, więc wzywano mnie zawsze do kuchni na reperację uszczelki. A po skończonej reperacji zawsze ówczesna szef kuchni - nie pamiętam, to jakaś Polka z pochodzenia była - to mnie zawsze później częstowała czymś smacznym w zamian za to, z czego byłam bardzo zadowolona.

Jadzia H.: Co nie znaczy, że tak bardzo świetnie pracowałam. No, przez niedopatrzenie dopuściłam, doprowadziłam do zamknięcia ogromnego odcinka rury wodociągowej, prowadzącej ze stawy Łańni na wodokanal. Ogromny odcinek zamknęłam. Ale bardzo sobie chwalię to, że zrobiłam tak w całym wiatry obozowej miejsce, w którym prawdopodobnie rura zamknęła, a wiedziałam doskonale, że to w innym miejscu, że władza uwierzyła. Podczas, gdyby wiedzieli, gdzie ona naprawdę zamknęła, to by wykryli moje niedopatrzenie i dostałabym za to.

Ktoś: Jadziu, czy Ty pamiętasz - chciałam zapytać - jak przyszłyśmy na ten III-ci OLP, to tam trafiłyśmy na plantację kapusty. Kapusty sadzonej przez mężczyzn, bo tam poprzednie byli mężczyźni przed nami. Otóż ta kapusta to było coś tak wspaniałego. Myśmy się dorwały, bo byłyśmy spragnione jakiejs surówki. Ładowałyśmy tę kapustę dla wojska, a sobie wycinałyśmy. Wieczorem taka scena: Upada "nadzorczyni" i słucha, bo w baraku rozlega się: chrup-chrup-chrup. I tak, tam, gdzie ona się siliła, to chrupanie milknie, a rozlega się w innym końcu, ona biegnie tam, tam milknie, tu znów. I tak miałyśmy sezon kapuściany.

Jadzia H.: Nie, ja nie pamiętam tej kapusty.

Ktoś: To było na samym początku.

Jadzia H.: Ja jakos nie pamiętam. - więc byłam kierowniczką elektrowni na tym III-cim OLP-ie.

Aniela: O!

Jadzia H.: Właśnie. Szyszka! I już jeszcze jednak, ponimo, że byłam tą kierowniczką elektrowni - to były już ostatnie

Jadzia H.: sianokosy w -54-tych roku - na które już po raz trzeci, ale już ostatni - pojechałam. I tu już pojechałam jako nie ta osoba do koszenia czy grabienia, a pojechałam jako "instrumentalaszycza".

Aniela: O!

Jadzia H.: Więć to był wielki awans. Ale "Instrumentalaszycza" miała za zadanie: ostrzenie pił i wyrobienie drogi, ostrzenie toporów, uzupełnianie wyłamanych zębów w grabiach, no i jeszcze tam koczowanie trzonków do łopat, do wideł i tak dalej.

Aniela: Ale robienie toporzyska do siekier, to nie?

Jadzia H.: Nie. Toporzyszczka były, tylko trzeba było je osadzać. No i ja się za to zabrałam. Nawet mi to szło jako-tako. W każdym razie byłam "instrumentalaszyczką" nie najgorzej. Tam jakoś sprawiałam się ze swoją pracą, nie chodziłam na podstawowy sianokos, a siedziałam przy swoim instrumencie. - Zostałam przeniesiona na V-ty OMP w końcu 1954 roku. Tam była następna elektrownia, więc tam w dalszym ciągu z nią się zabawiałam. Ale niesłuszna rzecz: tak uszanowano moją pracę, że zostałam wezwana przez jakiegoś sędzię śledczego i powiadomiona, że skracają mi wyrok o trzy miesiące.

Aniela: O tak awans "zaczoty"?

Jadzia H.: Tak, "zaczoty". Zamiast wyjść na wolność w sierpniu, miałam wyjść w maju. Na trzy miesiące przed tą znakomitą datą, a zajmowałam się również i wodokaczką - elektrownia i wodokaczka były pod moim zwierzchnictwem - na trzy miesiące przed tym wchodzę do stołówki -

Jadzia H.: a przecież u nas były już zupełnie swobodne stosunki, po pracy można było wyjść do miasteczka, wolno było wyjść do sklepu, zona była otwarta, z "wyszak" wszyscy wartownicy pokasili ...

Aniela: Ja tego nie miałam.

Jadzia H.: Tak, wartownicy już nie siedzieli na "wyszkach". Myśmy miały prawo wychodzenia do osiedla z tym, że - rzecz ciekawa - że myśmy mogli chodzić na spacery, do miasteczka, nad rzekę, ale nie wolno nam było chodzić do klubu oficerskiego i do kina - na wniosek żon miejscowej władzy.

Aniela: Jaki to był okres? Nigdy się z tym nie spotkałam.

Jadzia H.: 1955 rok. U nas było tak - już marcowe dżekuczyny szły na wolność. I tutaj pracowałam jeszcze na elektrowni i miałam pod swoją opieką również wodokaczkę. Wychodzę ze stółówki, biegnie do mnie "nadsieratiel" i mówi: Z"Take a taka?" Twoja wodokaczka się pali!" - Mówię: Przestań szutit', naczelnik!" - Już ten sposób rozmowy był inny nieci niż kiedyś. Nie musieliśmy wstawać na ich widok i było ich dwa razy mniej niż poprzednio. A on mnie zaklina: "Eto nie szutka. Smotri!" Patrzę: rzeczywiście ogień bucha. Nic innego, tylko przypiszą mi jakiś sabotaż i znowu dołożą mi wyroku. Pędem poleciałam na tę wodokaczkę. Ale tutaj dziewczyny nasze, pożarniczy, młodszy innymi naszą Zosia Owsianko, zaraz się rzuciły. Zlokalizowałyśmy szybko ten pożar. Władze przyjechały, ale na tym się skończyło. I tak, jak mówiłam, w maju 1955 roku zakończyłam swoje bytowanie w Abicie i wyszłam na wolność.

Jadzia H.: Aha, chcę jeszcze powiedzieć, że będąc już kierownikiem elektrowni, miałam nieco wolnego czasu, udało mi się dostać na kurs kroju i szycia, który prowadziła Ukrainka, która we Lwowie skończyła gimnazjum kra-
wieckie. I to był kurs z prawdziwego zdarzenia. I kie-
dy wyszłam na wolność i mieszkałam jakiś rok z kawałkiem w
w Kas-ju ...

Anielat Czy Cię tam skierowano?

Jadzia H.: Ja miałam już wtedy rodzinę ...

Anielat To znaczy, że można było wybierać?

Jadzia H.: Tam, tak. Ale podanie musiałam pisać, żeby mnie tam
skierowano. Zresztą do ostatniego momentu nie wiedzia-
łam, czy mnie tam skierują. Wieźli mnie przecież w wa-
gonie więziennym. Siedziałam w areszcie 24 godziny
zanim zawieszono mnie do SPSC-komendantury itd.
Nauczyłam się kroju i szycia. Podobno byłam do tych
spraw wyjątkowo tupa i Zosia Owsianko, jak o tym po-
słyszała, powiedziała: "Prędzej mi tu na rękę kaktus
wycenię, niż Ty spódnice uszyjesz. Co Ty wymyślasz?"
"No, nic. Nauczę się." - Ale później, jak mieszkałam
w Kas-ju na "posieleniu", to tam byłam pierwszą "port-
niczą" w tym osiedlu.

Anielat To było bardzo mądre posunięcie.

Jadzia H.: Tak, dlatego, że zaczęłam szyć. A żeby mieć jak naj-
mniej dla siebie roboty, gdy klientki przychodziły,
zdejmo wałam z nich miarę - miałam taki zaszyt, gdzie
napisywałam - a później obok rysowałam model sukienki,
a starałam się, żeby ten model był najprostszy, żeby
najszybciej można było go zrobić. I tu był największy

- 29 -

Jadzia H.: szechyt: "Kak to Ty dla nienia etc wydumała?" - No,
i okazuje się, że to była modelowa suknia!

Hanna Siemionowska, Jadwiga Zambrzycka z d. Hoppen.

Obecne: Zofia Andruszkiewicz, Stanisława Gortyńska, Jadwiga z d. Jeleńska

Zosia: Zofia Andruszkiewicz. Imiona Rodziców: Leokadia, Jan.
Urodzona jestem na Litwie - Bejsagola dnia 9.I.1922 roku.
Pseudonim "Czajka". Wykształcenie zawodowe rolnicze. Wstąpiłam
do Organizacji oficjalnie.

Tania: /St. Gortyńska/ : gdzie?

Zosia: W Raduni^{dunin} w 1943 roku, 14-go czy 15-go maja. Nie pamiętam.
Pracowałam jako zwiadowca, łączniczka i organizowałam żywność
dla AK. Moim bezpośrednim przełożonym był komendant placówki
AK w Kurczu, pseudonim "Natan". Odznaczeń żadnych nie
miałam. Pracy miałam sporo - czy to wyjazdy, czy wezwania.
Byliśmy przygotowani do zdobycia Wilna. Było u nas zorganizowane,
że będą nas przywozić rannych, ale nie przywozili, więc właściwie
nie było mojego udziału tam. A w 1944 roku brałam udział w
zdobyciu Radunia, kiedy rozbijaliśmy tam placówkę żandarmerii.

Tania: Jaki oddział?

Zosia: "Krysi". U "Krysi" byłam. Siostra moja ranna była w głowę. Wtedy
właściwie nie było wiele pracy. Było zaledwie paru rannych.
A kiedy już przyszli w czerwcu 44-go roku dostałam rozkaz od
"Natana", że mamy rozbijać Niemców. Oni odstępowali już i mnie
wysłał do nich, do tych Niemców. Dużo ich było. Wojsko odpoczywało
wtedy pod lasem. To był teren w stronę Zabłocia koło Pręcilizek,
taki odłonek. kawał pola - las i znowu kawał pola. Tam Niemcy
odpoczywali.

Tania: Ilu ich było? tysiąc?

Zosia: Tysiąc. Przeszło tysiąc. Trudno mi powiedzieć. Ponad tysiąc.
I to wojsko z armatami szło. "Natan" kazał mi iść do nich, abym
przekazała im rozkaz złożenia broni. Więc ja poszłam, Poszukałam
najstarszego oficera. Zaprowadzili mnie do niego. I ja mu mówię,
pokazując na las, że są otoczeni białą partyzantką i oto rozkaz
aby złożyli broń a sami wycofali się stąd. Ten oficer, pamiętam,
miał czapkę z trupią czaszką na głowie. Zsalutował i powiedział:
"Jahwol". I dał rozkaz swoim żołnierzom składać broń. Składali
broń, odpinali pasy, rzucali wszystko na kupę i odchodzili. No, a
nasz, paru żołnierzy wyszli z karabinami. Widziałam na własne
oczy jak stało tam kilku z automatami. Też było wszystko
przygotowane. Ale odeszli.

Ā.d. Zosia: I kiedy to wszystko zostało ukończone, wtedy siadłam, jak to sobie przypominam, na kupie tego wszystkiego i nie mogłam się podnieść. - A można tutaj wyrazić się brzydko? - Więc przychodzi komendant placówki i mówi do mnie: "Kurwa Twoja mać!" Och! Ja wzięłam się w garść, przyszkłam do siebie i zaczęłam pomagać im nosić broń do lasu. No, i potem wróciłam, tam była leśniczówka, gajówka raczej. I patrzę a tu jeden Niemiec wysoki taki podchodzi do mnie ale bez broni już w rozpiętym mundurze i prosi żebym go zaprowadziła do mojej partyzantki, bo on nie chce już walczyć i że nie jest wcale Niemcem a jest Mazurem. Starszy człowiek, lat 40 przeszło. Chce iść do białej partyzantki. Ja, oczywiście zgodziłam się na to. Może byłam łakwoeirną czy może głupią jeszcze w tych sprawach. Nie orientowałam się za bardzo. Zgodziłam się i zaczęłam manowcami prowadzić go do lasu, który już graniczył z puszcza Rudnicką. A kiedy go przyprowadziłam, to strażę niż chciały mnie dalej wpuścić bez hasła. Ja hasła w tej chwili nie znałam. Mówię, że ja ~~wpuści~~ przyszkłam do "Natana". Po jakiejś chwili przyszedł "Natan" zbeształ mnie, że przyprowadziła tego Niemca, że mogłam przecież pokazać ślad. Rzeczywiście - ja potem sama zrozumiałam, że miał rację. I zabrali tego Niemca. Napewno go tam ciągnęli. Ale dalszego losu jego nie znam.

Tania: Czy on mówił do ciebie po polsku?

Zosia: Nie, po niemiecku.

Tania: To znaczy polskiego nie znał.

Zosia: Parę słów tylko, trochę mówił po polsku.

Tania: A ty trochę po niemiecku.

Zosia: Tak. Jeszcze jak uczyłam się w szkole. Nie wiele. Ale jednak rozumiałam trochę. No, i na tym ostatnia moja praca była skończona. Dali rozkaz nam skryć się, nie pokazywać się, nie ujawniać aż do rozkazu. No, i potem przystąpiłam do pracy jako księgowa. Brat został aresztowany.

Tania: W mleczarni pracowałaś?

Zosia: Wtedy nie. Prżtym pracowałam jako kierownik mleczarni a potem już w czasie wojny jako księgowa.

Tania: "gław-buch"?

Zosia: Nie, nie gław buch. Miałam młyny do swojej dyspozycji.

Więc brat został aresztowany wcześniej. Odrazu go aresztowali. Trzymali go w Raduni.

Tania: Czy brat był w partyzantce?

Zosia: A, tak. On był komendantem placówki AK. "Natan".

Tania: Rozumiem, rozumiem.

Zosia: /cd/ Więc widziałam go codziennie, jak go prowadzili. Pokazywał tylko, że wbijają mu szpile pod paznokcie.

Nie minęło długo arsztowali i mnie. Trzymali chyba 10 dni.

Tania: Kiedy to było?

Zosia: To było 28-go sierpnia 44-go roku. I wtenczas gdzieś tam wydał walkę "Kryś" koło Wilbiki /?/ Ja już nie pamiętam jaka to była miejscowość, ale gdzieś tam koło Lidy, w tych błotach nad Niemnem, w takich okolicach. I stamtąd przywieźli nam rannych. Dziewczeta siedziały z jednej strony w jakichś stajniach czy szopach a z drugiej strona - mężczyźni. Ja opiekowałam się rannymi. Okazywałam im pomoc jeszcze w areszcie. I właśnie w tym areszcie dowiedziałam się, że "Kryś" im wydał wojnę. Ale z tego okrzyku "Kryś" uciekł. Nie złapali go jeszcze wówczas. Nas z Raduni wywieźli we wrześniu, chyba 14-go. Ja tam siedziałam tylko 2 tygodnie. No, i pieszo pognali nas do Lidy. Rannych na wozy a nas pieszo. Stamtąd zabrali nas do więzienia. I tam od celi do celi i pojedynki. Kiedy weszłam do celi było w niej 40 osób. Duszno, smród. Oddychać nie było czym. Ale nie jeszcze takiego głodu. Jeszcze dawali nam jaś tam zupę. Dawali kaszę. Tylko było bardzo ciasno i ta "parasza"! Stała tam a to wszystko leżało nam się na głowy, bo nie było prycz, spałyśmy na ziemi. Leżałyśmy tak, że nie można było wyciągnąć nóg. Śledztwo miałam już w Raduni. Żądali ode mnie, żebym powiedziała kto należał, to mnie wypuszczą. Ale ja nikogo nie znałam bo skąd mogłam znać? Znałam pseudonimy. I nikogo nie znałam z tych osób, które spotykałam. Może i wiedziałam, ale dlaczego miałam im to mówić?! Więc mnie wypuścili. Bita byłam. Bili mnie na śledztwie. I potem 3 razy wzywana byłam na śledztwo. No, i potem zaczęło się regularne śledztwo - w Lidzie. Tam byłam często wzywana i zawsze w nocy. 11, 12, 1-a w nocy. Wtedy, kiedy człowiek najlepszy sen miał. Wzywają nieprzytomną na śledztwo. Pamiętam jeden raz było śledztwo okropne. Byłam wzięta w 3 ognie. Jeden pytał, drugi pytał, trzeci pytał. Doprowadzili mnie już do takiej hysterii, że chciałam ich pozabijać. Caka się trzęsłam i już tylko czekałam kiedy złapie kałamarz i któremuś trzasnę w łeb. Może wtedy mnie zastrzelą czy coś zrobią - to mi było już obojętne. Po tych śledztwach widzieli, że nic nie dowiedzieli się i 10-go maja 45-go roku dostałam wyrok. Wojenny Trybunał mnie sądził. Dostałam 10 lat

Tania: § 58 ?

Zosia: Nie, 63 - białoruski. "Izmiana Rodiny". § 64 przez 4 czy coś tam.

Zosia: /cd/. Nie pamiętam tych paragrafów. No, i wywieźli 22-go maja nas do Orszy. Orsza nas nie przyjęła, bo była przepełniona.

Tania: W jakich wagonach jechaliście?

Zosia: Wcieleśnikach.

Tania: To badłące?

Zosia: Tak, bydłące. W tych bydłych wagonach wrócili nas do Mińska. W Mińsku - kiedyś był tam klasztor a bolszewicy tam więzienie zrobili. Nas zamknęli do podziemia, gdzie nie było okien. Z tysiąc osób chyba tam siedziało. Ogromne podzienia, piwnice. Dusiliśmy się, brak powietrza. Błyszmy nagie. A wśród nas była jeszcze jedna wariatka. Zwariowała w czasie śledztwa. Ona nas tam i gryzła. Jak to wariatka. Miałysmy znią straszną mękę. I tam trzymano tydzień czasu. Oddychać nie było czym, pić nie dawano, jeść nie dawano. Jeden raz dziennie wyganiano nas na "progótku". Po tygodniu zabrali nas do wagonów i znowu Orsza nas nie przyjęła. Więc zapędzili nas do Smoleńska i dali nas do więzienia w Smoleńsku. Tam było trochę lepiej. Zamknęli nas po kilka w celi i dawali trochę jedzenia. Zupy gorącej i coś tam jeszcze - raz dziennie. Kasza jakaś taka jak zupa rzadka ale to było gorące i można było to jeść. Było tam strasznie, bo siedział tam też "urki". Było jakieś takie rozprężenie, rozpuszczenie. W nocy takie "urki" wpadli i pakują się do kobiet. Tak tam było. Więc zawsze z przerażeniem czekałyśmy tej nocy, że może przyjdą i pomordują nas. Stamtąd po tygodniu zabrali nas i przewieźli do Orszy. Tam - rozpacz, bo zapanowała czerwotka. Codziennie umierało po 70, 80 osób. Dopiero była tragedia. Tam były pnyce jedne na drugich, więc człowiek na człowieku poprostu leżał. Wszy. Brud straszny. Jedzenie okropne. Dawali zupę i 250 g chleba dziennie. I jaki chleb! Że jak ścisnął go człowiek, to woda się lała. I ja tam byłam aż do lipca. W pierwszych dniach lipca nie zachorowałam, tylko źle się czułam. Byłam bardzo osłabiona. I tam, idąc do łaźni spotkałam człowieka, który mnie aresztował i który mnie bił. Ten sam NKWD-zista, naczelnik NKWD z Raduni. Sam dostał się do więzienia. Jak przyszli mnie zabrać z biura to ja sama miałam na ręku branzoletkę, złotą puderniczkę i on mi to zabrał. I kańcuszek złoty też zabrał sobie. I potem to jednak mu udowodnili i dostał za to jakiś wyrok. Nie wiem jaki. I kiedy go spotkałam, to byłam bardzo zadowolona, że mogłam mu powiedzieć jaki on był. A kiedy tam jeszcze inni chłopcy dowiedzieli się o tym, to mówią: "czekaj, to my

Zosia: /60/ tutaj damy jemu. On nie będzie miał życia". Nic jemu się nie stało, bo odrazu był "pridurkiem" - naczelnikiem więzienia. I wtenczas to: "czekaj, ja tutaj, to będę na tobie się mścił" za to, że ja wyjawiałam kim on był. I rzeczywiście - zabrali nas do pracy. To było koło Katynia, obóz, gdzie robiono szosę Mińsk-Smołeńsk, szosę centralną. Było tam 1000, półtora tysiąca osób. Kobiet było mało. Były w jednym baraku - nie wiele. Polki tam byłyśmy 2. Ja i Marysia z Lidy. Nie pamiętam jej nazwiska. Na czwarty dzień dostałam dezynтерии. Przyjechałam już chora. Położyli mnie do szpitala, gdzie przelażałam dosyć długo. Tam zrobiłam się jak cien, chuda, wyschłam. Ale jakoś przyszkłam do siebie. Poszłam do pracy. I nas takie słabe pognali na wieś do pracy kopać, okopywać ziemniaki. Tak, wtenczas jeszcze nie kopali, tylko kazali okopywać. A potem, kiedy jeszcze bardziej przyszkłam do siebie to posłali do pracy nad drogę.

Tania: Jeśli chcesz odpocząć, to powiedz.

Zosia: Nie. Wtenczas zaczęli nas wozić do pracy. Robili smołówkę i tą smołę trzeba było wyciągać z dołów. Jak było chłodniej, to ona była taka twarda, że trzeba było ją rąbać kildfami i kałśc na samochody. A jak było ciepło, to była taka płynąca maź. I to była tragedia, bo ani łopata ani rękami. Ciężka to była, bardzo ciężka praca. Bardzo nam tam było ciężko pracować. No, i po jakimś czasie zabranę nas, kobiety stamtąd, bo kobiety nie dawały rady i dziewczęta wogóle nie radziły sobie z tą pracą. Tam właśnie spotkałam się z kurhanami Katynia. Przywozili nas do tej pracy przez groby Katyńskie. Ja nie wiedziałam, że to tu właśnie tu były nasze groby. A nasi chłopcy z Lidy mówią: "Zośka, patrz, tutaj leżą nasi oficerowie." I przejeżdżałyśmy przez to. bo to tak droga szła koło nich, przez nieduży las sosnowy. Tam były jeszcze jakieś zabudowania, ale nam nie pozwalano oglądać się i kazano cicho siedzieć. Wozili nas takimi ciężarowymi samochodami. Sadzali po 5. I tak cały samochód nasadzili i tak wozili. Koło tego miejsca. Włęc widziałam. Tam miał być też mój brat. Tylko miał na tyle szczęścia, że w 39-ym roku był wzięty do niewoli. Walczył pod Równem. Był ciężko ranny w głowę. Był podoficerem. Odrazu wzięli go do szpitala. I on, jako chory pozostał w szpitalu. A kiedy wrócił, w wielkiej tajemnicy powiedział, że gdyby nie to, że był ranny, toby razem z innymi skończył życie w Katyniu. Bo stamtąd nikt nie wrócił. Wszyscy zginęli. No, i tam byłam przez trzy miesiące a potem nas zabrali i przerwucili dalej, do innego obozu.

Zosia: /cd/. go obozu. Po cni, stopniowo, jak droga się robiła to przerzucali wyżej. Tam byłam jeszcze miesiąc czasu. Potym zabrali nas stamtąd. Tam nawet nie było śle. Jedzenia było niewiele. Nie było dużo osób. A naczelnik OŁP-u starszy pan opiekował się Polakami. Mówili nasi panowie, że on sam był chyba Polakiem. Więc stamtąd zabrali nas do Orszy. I z Orszy też nas wnet wywieśli. To był już chyba m-c listopad, koniec listopada. Ja nie pamiętam dat. Więc przywieśli nas do Orszy. Pobyliśmy w Orszy jakieś 3 dni i wszystkich nas zabrali na etap do Wołogradzkaja obłaść gorod Kotłas. O! Tam jeszcze mieliśmy tragedię. Jadzia Rewkowska - byłyśmy razem. Ona pochodzi z Rakliszek. Rakliszki - to majątek. Z nią razem jechałyśmy. W tym czasie dostawałyśmy paczki. Ja i ona. Ja już nie miałam nikogo. Mama pojechała do Polski z mniejszym rodzeństwem. W międzyczasie został aresztowany ojciec i 2 siostry. Czy ja mam mówić o mojej rodzinie też? czy tylko o sobie?

Tania: Tak. Bo jeśli to się wiąże.

Zosia: Bo do AK należał także mój brat. On był w oddziale u "Krysi". Był przy zdobywaniu Wilna. Starszą brat "Natan" był komendantem placówki i przy zdobyciu Wilna nie był. Młodszy zaś przy zdobyciu Wilna był. Był ranny. Dostał w głowę jakimś odłamkiem i został głucho-niemym. Był w Miednikach a potem ich wywieśli do Kaługi. Tam długo leżał w szpitalu i został wysłany do domu jako kaleka. Ale go zpowrotem aresztowali w domu. Potrzymali, poprowadzili śledztwo. Jakoś udało mu się, że znowu wyszedł. I on właśnie wrócił z mamą i młodszym rodzeństwem tutaj do Polski. Więc ja, 2 siostry, starszy brat - wszyscy siedzieliśmy. Ale ja o nich nie wiedziałam nic. Absolutnie nic. Gdzie, kto. I kiedy nas przywieśli dostałam paczkę od zupełnie obcych ludzi. Pomagali nam, prawda wszyscy, którzy wiedzieli o nas. Miałyśmy pełne torby z jedzeniem. A siedziałyśmy razem ze złodziejkami. I to było dziwne. Siedzimy w Orszy. Mamy już swoje bagaże. Oddali nam wszystkie bagaże z tej "kapciorki" i zamknęli nas wszystkich do tej sali, gdzie miał się odbyć etap. Ja wchodzę do tej sali z koleżanką z tą Jadzią Rewkowską a tam widzę, że siedzą Polki i dają mi znaki, żebym prędko szła do nich. Jeszcze się nie zorientowałam a już Jadzia woła: "Zosia"! Odwracam się a już nasz jeden z tobó złapały te złodziejki sobie. Ja bałam dzielną, mocną, wysportowaną dziewczyną. Rzuciłam się w tę stronę, jedną trzepnęła, drugą trzepnęłam pod brodę pięścią. Mój brat był bokserem, on mnie trąchę nauczył.

Zosia: /cd/. Jedną wywróciła się, druga wywróciła się. Ja zabrałam tobół i już. Potym dowiedziałam się, że ta złodziejka to była z Moskwy z takiej organizacji "Mucha", czy jakoś tak. To była złodziejska banda. A ona była kierowniczką.

Jadzia była mała, drobna, ale dzielna, więc złapała tamtą za włosy i ciągnie. A tamta ją też za włosy. Więc ja prędko rozdzierałam je. Trzepnęłam tamtą też pięścią w podbródek i ta wywróciła się. Zabrałam rzeczy i nie dały nam rady. A w tym czasie drzwi się otworzyły i nadzierateli - one były z nim w zмовie. Ten nadzierateli miał zabrać mi całą zawartość tej paczki. To ja wtedy narobiłam straszego wrzasku. A w międzyczasie przechodził ich oficer. Otwiera drzwi i "co się tu stało"? Więc ja jemu opowiedziałam jaka to sprawa, że tu przyszliśmy i że tu na nas złodzieje napadły, że właśnie dziewczyny, te kobiety i, że ten człowiek, nadzierateli z nimi razem jest w kontakcie, bo otwarta była sala i chciałam to zabrać. A on na to: "Jawiem, że tak jest." Kazał nam zabrać rzeczy. Też bałyśmy się. Ale to musiał być porządny człowiek. Zabrał rzeczy i zniknął nas w jakimś pokoju. Tam siedziałyśmy i drżałyśmy, że nas teraz to już pozabijają tam. Ale nie. Jest noc. Przychodzi ten człowiek i powiada: "Wiecia co wy? Ja was muszę zaprowadzić zpowrotem, bo jak ja odejdę, to rzeczywiście może być bieda. Ale rzeczy wasze zamknę, bo inaczej to wam te rzeczy pozabierają". No, cóż. Nie miałyśmy innego wyboru. Zamknęłyśmy te rzeczy. Myślmy, że pewno i tak i tak przepadną. Trudno. I poszłyśmy na salę. O, one myślały, że już nam coś zrobią. O! Teraz to już wam damy. Okazało się, że przyszliśmy bez rzeczy. Zaczęły nas trochę prześladować. Ale to nic, nie ważne. I rzeczywiście z rana pobudka. ~~Wszystko przyszedł.~~ Przeszedł ten oficer, oddał nam rzeczy. Ale one skontaktowały się ze swoimi złodziejami. I tutaj się zaczyna. One koło mnie starają się być. Ja mam nazwisko na A a Jadzia na jedną z ostatnich liter alfabetu. Mówię Jadzi: "Jak będą czytali moje nazwisko, to je nie zgłoszę się. Będę starała się żeby być na końcu. Tak i było. Moje wyczytali 3 razy - chyba pamiętam. No. niema. Więc pojechali dalej. Czytają, wybierają. Jadzia Rewkowska jak tylko jej nazwisko wyczytali, to ona od razu zgłosiła się: "jest". A te złodziejki też chytne. Widziały, że ja zostaję, bo słyszały już moje nazwisko, znały. - to one też zostają. I na koniec do tego samego wagonu wsiadłyśmy. Niestety rozdzielono nas z Jadzią. Jadzia pojechała w jednym wagonie a ja pojechałam w ostatnim. I wszystkie złodziejki ze mną. Jadzia wzięła część rzeczy i ja wzięłam część rzeczy. No, i teraz zaczęło się. Widocznie

Zosia: /cd/. ten sam drań odprowadzał nas, bo puścił na nas psy. Mnie pies złapał za ciało, za nogę, póżarpał spodnie i złapał za nogę. Pogryzł. Siedliśmy. Nikt nie patyczkował się z nami. Ta noga boli, krwawi, tutaj ciało gołe - a on: "iść, albo zatrzele". No, wsadzili nas do wagonu, do bydlęcego. A to był grudzień, mróz, zimno. W wagonie pośrodku był taki piecyk żelazny. Miał nas ogrzewać. Światła w wagonie niema. Złodziejki, widzę, siedzą razem z nami. Ta, którą tak tłukłam jest. Ta czarnuszka. Zaczyna się. Nie - myślę sobie - nic wam nie dam. Ani kawałeczka. Bo jabym się ostatnim kęsem z każdym podzieliła. Ale przez to, że tak postąpiłyście to nie. Wzięłam, bo dostałam, duży kawał słoniny, miałam też suchary. Tak podali. Słoninę położyłam pod siebie. Zimno. I nic nie dają. No, i jeszcze coś tam. Sama nic nie jadłam przez drogę i im nie dałam. A bo to: "daj na fitil, daj tłuszczu na fitil, na knot, żeby się paliła ta lampka. Nie dałam. Mnie nie przeszkadzało. A Jadzie w drugim wagonie okradli. Pierwszego dnia jak tylko weszła, odrazu wszystko zabrali. Na/s przywieźli do EPOK-stroju. Wehodzimy - baraki, ziemniaki takie. Długie baraki, wilgoć straszna, ciemno.

Tania: Gdzie to było?

Zosia: Epokstroj gorod Kotłas. Zimno. Aha, jeszcze nie tak, przepraszam.. Nie wiem do jakiej stacji nas przywieźli, a dalej, tam, dokąd mamy jechać pocięgi już nie chodzą. Do Kotłasa nas przywieźli. Tak. Kotłas. I tam nas wysadzili. I do stodoły. Ogromna, bo nas parę tysięcy przywieźli. I tak, jak to stodoła - szpary dokoła. I śniegu pełno, ziab. I w tej stodole każą nam siedzieć. Z jednej strony kobieta, z drugiej mężczyźni. Dali nam suchoj "pojok". Suszoną kanzę - to ryba taka mała, 5-cio centymetr. długości, soloną i kawałeczek chleba. O tym żyjemy. Pragnienie straszne - aż pali, pieczą w środku. Jeść więcej nic nie dają. 3 dni nas tam trzymali. My, kobiety, dziewczęta miałyśmy to jakąś chustkę, czy stanik, jakiś koszyk - a nasi panowie aresztowani byli albo odrazu z oddziału albo z domu. Więc w marynareczkach tylko, w koszulach i w półbutach. I tu takie warunki. Już tam podmrażali sobie ręce, nogi, twarze, uszy. Raz przynieśli nam kipiatok. To my to sobie wypili - a potem znowu niema. To trzy dni było takiego siedzenia. Pić strasznie się chciało. Parasza stoi pośrodku. Mężczyźni dokoła. Każdy się krępuje. Irzecież to nie bydło, to ludzie. Więc zasłaniamy sobie jedne drugie jak możemy. Ale mężczyźni o tyle byli szczęśliwsi, że sobie pod ścianą robili siusiu gdzieś

Zosia /cd/. w szparę. Ale chciało się pić. Pić. pić, pić! Jeden był jęk: piiiii! piiiii! No, ale cóż? Ten konwoj też był bezsilny. Ale żeby nam jakoś pomóc, to kopał śnieg z zewnątrz nogami, żebyśmy mogły chociaż trochę tego śniegu wziąć. I ten śnieg razem z moczem z tym wszystkim szedł do nas i myśmy go brali do ust. I to było tak gaszone pragnienie. Wielu osób zachorowało. Kobiet było nie wiele. Kobiety zostały jakoś z tyłu. Najpierw byli mężczyźni. I nagle widzę - przed nami jedzie samochód. Wyprowadzili nas, posadzili po 5 w 5 rzędów. Pierwszy rząd od tyłu przodem do kabiny, gdzie kierowca siedział a 4 rzędy po 5 osób siedzieli tyłem do kabiny. Przy samej kabynie na górze 2 żołnierzy stało z bronią, z karabinami. I widzę raptem, że to Polacy z nami. Z Polski był etap z Lidy przeważnie wszyscy byli. I nagle ta klapa w samochodzie od tyłu się otwiera, odpina się i ci panowie wypadają. Wypadli a żołdacy po nich serię puszczają. Jednego zabili.

Tania: Gdzie to było?

Zosia: Z Kotłasa do EPOK-stroja. Jechaliśmy rzeką. Rzeka Tuchonia. I jeden pan, ja nazwisk już nie pamiętam, inżynier, w średnim wieku, miał lat 40, może więcej był ciężko ranny. Gdy przyjechaliśmy odrazu zabrali go do szpitala. Przecież widzieli wszyscy, że oni nie uciekali. Bo gdzieżby uciekli przy temperaturze minus 40 ° i w marynareczkach. Żeby chociaż ubranie im dali. Nie im nie dali. Myśmy tam ile mogły, dzieliłyśmy się. Ale jedną coś tam mogła dać jednemu, ale nie dziesięciu, nie stu. Potym spotkałam tego pana. Chodził o kulach. Był bez nóg. A palce na rękach miał odmrożone. Takie kikuty miał. No, i kiedyśmy tam dojechali, zaczęła się rozpacz. Przyjechaliśmy do obozu. Podzielony. Z jednej strony kobiety, z drugiej mężczyźni. Panowali złodzieje. Zaczęła się kradzież. Odrazu. Ja miałam oficerki. Takie modne wtedy były wysokie dla kobiet. Przyjechałam w tych oficerkach, więc odrazu do mnie, żebym je zamieniła, żebym sprzedała te buty. Ja powiedziałam, że nie sprzedam tych butów. I na tym koniec. Nie nalegali. Zniosła to wszystko do kapciorki. Ale one wciąż do mnie, żebym sprzedała te buty. Ale w czym ja będę chodziła tego mi nie mówią. Nareszcie mówią, że oni mi zrobią inne buty. A ktoś z naszych mówi: "zgodź się". Bo i tak i tak oni ci te buty ukradną. I nie nie będziesz miała". Dobrze. Zgodziłam się na te buty. Zrobili mi buty. Szewc zrobił. Przyjemne były. Skóra stara, do niczego, ale były przyjemne. Potym mi je ukradli. Jeden raz miałam je tylko na nogach.

Zosia: /ed/. Więc przyjechaliśmy. Nazajutrz ubrali nas. A pojutrze poprowadzili do pracy, do lasu. Aha, jeszcze była komisja lekarska. Ja dostałam II kategorię. Zdrowa przyjechałam, mocna, potrafiłam jeszcze porozstawiać po kątach te złodziajki. Do lasu poszliśmy na ścinę lasu. Żadna z nas tego nie umie. Dali nam piły dali nam 2 siekiery, czy trzy siekiery, bo nas było 5. "Zwieno" takie. Piłuj drzewa. Śniegu po pas. Drzewa ogromne. O, rany! Żadna nie wie jak dostać się do niego, z której strony, jak?! Ale piłujemy. Pierwsze nasze piłowanie. Piłujemy. Spikowałyśmy, a jedno drzewo, ale zaczepiło się o drugie drzewo. Drugie drzewo zaczepiło się o trzecie. I tak naraz 5 drzew zaczepiło się i stoją. Żadne nie chce spadać. Więc ja wzięłam siekiere - bo zaczepiło się o takie jeszcze młode, w obwodzie mogła mieć może 30 czy 40 cm. Przyszłam więc z tą siekiere i zaczynam rąbać to drzewo. A ten "pro-rab", też więzien, biegnie i wyzywa mnie od ostatnich słów. Ja przestałam rąbać i patrzę czy to on do mnie czy do kogo innego. Przecież człowiek w lesie pierwszy rat. Przyszłam i biegł, wyszarpał mnie stamtąd. "Co ty myślisz, że ja za ciebie chcę drugi wyrok dostać!" I jak tylko mnie wyszarpał stamtąd - buuch! i wstyskie drzewa kładą się i leżą. No, właśnie ciwie pomyślałam sobie, że wcalebym nie rozpaczala, gdyby mnie te drzewa przygniotły. To już miałabym mękę za sobą, bo życie to mi było już obojętne. Dość miałam tej poniewierki, tego upokorzenia, które człowiek przechodził. tego nieszczęścia, głodu, brudu, nędzy i wogóle upokorzenia moralnego. To już chciało mi się umrzeć. A ten wyciągnął mnie i zaczął nam dawać instrukcje, jak mamy się zachowywać w lesie. No, i zaczęła się gehenna. Chodzenie do lasu po 8 km. dziennie przez śnieg. Po pas tego śniegu było. Bo tam były ogromne śniegi w tajdze. Chodziło się po 8 lub 10 km w jedną stronę. Pobudka gdzieś o 6-ej. Jadło się i gdzieś o wpół do 7-ej wychodziło się do lasu. Wracano się z lasu na godz. 7-ą lub 8-ą wieczór. I przez cały dzień pracowało się. Wieczorem po powrocie dostawało się 40 g bałandy takiej zupy gotowanej z "iwanczaju", z lebidy, albo z liści, najgorzszych liści kapusty, siekanych i do tego rzucone były ryby, garść ryby takiej drobnej, moskalików takich solonych i to była zupa. Głodny był człowiek a jeść tego nie mógł. Z rana dawali nam też zupę podobną. A, nie, nie, wodę dawali. Cukru dawali 250 g. na miesiąc. A jak ktoś dobrze pracował, wyrabiał normę, to dawali 400 g chleba takiego, że jak ścisnąć, to woda z niego ciekła. W ciągu 3 miesięcy dostałam III grupę.

Zosia: /cd/. Prawie inwalida. Szkielet. Skóra i kości. Ale mało tego: po kilku dniach zapraszają mnie do Oper-Upoźnomożennego - taki ich polityczny pracownik. I okazuje się, że po kolei wszystkich wzywa. A ja miałam piękne długie warkoczki. Ale żeby nie mieć kłopotów z warkoczami to jeszcze w więzieniu obciąłam sobie włosy. i miałam krótkie, bo to i myć łatwiej i utrzymać w czystości. Więc ten "Oper" poprosił mnie do siebie. Okazuje się, że on swoich pracowników wołał do siebie, żeby współpracować z nim. Więc od razu: Wy jesteście tym i tym - dane wasze. Ja mówię: tak. "A gdzie macie rodzinę?" Ja mówię, że nie wiem. Mama chyba wyjechała do Polski. A brat siedział. Opowiadam, że Ojciec, brat, siostra. On mówi: "Ja mam o nich wiadomości." "Och, tak?" - ucieszyłam się. Myślałam, że rzeczywiście miał o nich wiadomości. "Och, proszę!" A on: "A, nie, tak łatwo to nie pójdzie. Tu musicie z nami tutaj współpracować. Dostaniecie lepszą pracę, ale musicie donosić o waszych koleżankach - co kto powie, czy co kto robi. A wy pójdziecie czy to do kuchni, czy do partnoj". To krawiecka, gdzie szyją. Aha, więc ja już wiem o co chodzi. "No, i nie będziecie tak długo siedzieć." On mi to wszystko mówi a ja myślę: wszystko pięknie, ładnie ale ja i tak długo siedzieć nie będę. I mówię mu to. A on zastanowił się i mówi: "Jak to - nie będziecie długo siedzieć". "Oczywiście - mówię. "Ale jak to?" "Ja nie będę długo siedzieć" - powtarzam. "A co wy zrobicie?" Ja mówię: "Sądzę, że nas wypuszczą". Oho! - mówi - to już napewno nie." "To innym sposobem jakimś wydostanę się stąd". "A jakimżeż to sposobem?". "Ucieknę wam - mówię - ale siedzieć nie będę." "O, nie" - mówi, No, i jeszcze powiedziałam, co myślę o nim. A on mi mówi: "Wy jesteście izmiennik Rodziny". "Ja?! Jak ja jestem izmiennik Rodziny, to dajcie mnie do Polski i niech mnie tam sądzą za izmienu Rodziny". A on wtedy: "Ha, ha, wy dobrze wiecie, że tym was sądzić nie będą." "No, to cóż ja jestem za izmiennik?" I tak sobie z nim porozmawiałam. A, i jeszcze mówi: "Nie mówcie tylko nikomu o czym my tutaj rozmawialiśmy". A dziewczęta: co, co, no, co? A ja mówię: Co? chcą przekaptować nas na swoją stronę. Stukacza ze mnie chcieli zrobić". Tak powiedziałam głośno. I dobrze sobie zrobiłam, bo przez jakiś czas bali się wypuścić mnie za zonę, do lasu. Bali się, że ucieknę. Okazuje się, że jeszcze jedna taka była. Sonia, ukrainka. Ona siedziała u Niemców. Miała także włosy obcięte jak chłopak. I ona też identycznie powiedziała mi, że nie będzie siedziała, że ucieknie im. I na jutro nas nie wypuszczają do lasu. Zostajemy w obozie. Każą nam myć podłogi, każą iść do kuchni obierać kartofle. Jeszcze nie orientujemy się dlaczego. Przychodzi lato.

Zosia: /cd/. Przychodzi lato. Biorą na podkomandirowacznuju z tego obozu. Rzeczka Suchonia była w tym miejscu płytka i statki nie mogły przechodzić, więc pogłębiano ją, robiono takie śluzy. I potrzebny był kamień, granit. I to kobiety jeździły na tę komandirowacznuju gdzieś tam i zbierały ten kamień, te granity i przywoziły. Barki przywoziły tutaj. Patrzą wszystkie nasze dziewczęta jada. Nas nie biorą. Tutaj zatrudniają nas do najcięższych robót jak trzeba, ale tam do pracy nas nie biorą. I tutaj dopiero przyszyliśmy po rozum do głowy. Oni bali się, żebyśmy nie uciekły. I dlatego miałam drogę zamkniętą do wszystkiego. Zawsze byłam wykorzystywana. Ale druga rzecz jeszcze. Zaczęły się romanse. Ja byłam wogóle bardzo surowych poglądów. I sobie tych wszystkich kawalerów nie życzyłam. I nasi panowie nie podeszli do żadnej z nas. A było nas 5 osób wszystkiego. Byłoby wstyd, gdybym ja z Rosjaninem nawiązała jakiś kontakt. Więc zaczęło się. Jeden oświadcza się, drugi oświadcza się. Nasze dziewczyny to były kulturalne dziewczuszki. Nie te ich Maryny. Ale widzą, że nie da rady, więc zostawiają nas. I tak przez cały czas. Przez to człowiek był na bardzo ciężkich pracach. I tak i ja jestem cały czas na tych ciężkich robotach. O, jeszcze powiem: w 47 roku pracujemy przy kamieniach. Ładujemy je. A ja miałam wówczas złamaną rękę. Na górze dziewczęta kupowały kamienie. Zapomniały mnie uprzedzić, że toczą kamień. I taki duży kamień spadł mi na nogę i rękę. A kamienie były duże jak ten stół. Robili tam taką śluzę. Zwężali rzekę, żeby była głębsza. A my tu na dole układałyśmy te kamienie w takie stosy, sztable. No, więc byłam pochylona, toczyłam z dziewczynami jeden z tych ogromnych kamieni. No, i spadł na mnie. Dlatego teraz te nogi mam takie chore. Więc rękę miałam złamaną. Ale jak tylko wyszłam z tego, to znowu poszłam do tej samej pracy. Tylko już na rozładowywanie samochodów. Kamienie przewozili przez rzekę. To był 47 na 48 rok. Więc rozładowałyśmy i samochód odjechał. Odeszłam parę kroków. Ach, to był rok. Tyle było różności. I nagle lód pęka. Ja zapadam się w wodę. Rzeka już głęboka. Statki po niej chodzą. Wpadam i zaczepiłam się za lód rękami, woda mnie zalewa. A ubrana jestem i w cięlogrejkę i w buszkat i czapka watowana. wołaki, rękawice watowane. Jestem napół taki niedźwiedź. Czuję, że już nie mogę. Gdybym była mocniejsza, tobym się jakoś odbiła i już była trochę na wierzchu. A tu woda mnie odrazu zalała, nie mogę się wyciągnąć. I czuję, że mnie wciąga coraz bardziej. A był tam nasz Polak, kapitan w przeszłości, Kzimirz Wysocki. Woła: "Dziecko, trzymaj się, zaraz idę do ciebie." Ale lód popękał dokoła. Bóg dał, że ten kierowca z samochodem odjechał, bo on-by się już nie uratował. I na takiej długiej desce, na trapie tak

Zosia: /cd/. podsunęli tego Polaka bliżej mnie. On łopatą miał. Tłomaczy mi:" Trzymaj się jedną ręką a drugą chwytaj się za trzonek łopaty. Trzymaj się mocno. Trzymaj się. Będzie łatwiej, bo już masz mocniejszy punkt oparcia. A teraz staraj się chociaż trochę odbić. No, na raz, dwa, trzy." Tak mi to tłumaczy. Więc ja trochę podskoczyłam, zaczęłam się łokciami o lód i już było lepiej, łatwiej. Podciągnęli go trochę na desce i ja się podciągnęłam. I znowu to: raz, dwa, trzy i znowu podciągnął. I już wyżej. Wtedy złapał mnie za rękę - już nie za łopatę i wyciągnął. I wyciągnął, bo już cała byłam w wodzie. Zmoczona okropnie, ta wata cała poszła. I zanim wyciągnął, to ja już byłam jedną bryzą lodu. Mroz około 50 stopni. Tam była taka temperatura poniżej zera, naturalnie. A tam bez przerwy palił się ogień, ognisko, bo człowiek pracuje i co 5 czy 10 minut idzie ogrzać się do tego ogniska. Grzyliśmy się wszyscy. Kobiety i mężczyźni razem pracowali. Przyszłam więc do ogniska. Trzymają z jednej i drugiej strony. Przycięgnęli mnie właściwie. Przybiegł główny inżynier. Zobaczył taką historię. Zamknął pracę na tym odcinku i mnie do zony, do obozu poprowadzili, 2 osoby ze mną. Szłam jak mumia. Trach, trach, trach. Ale mi nie było wtedy zimno. Przyprowadzili. Rozbierają mnie. Wszystkie guziki poleciały, bo to wszystko zsiągali ze mnie. Dziewczeta - każda z sercem. Jedna niesie mi wrzątek, druga jeszcze coś tam, "wełnienkę", jakąś kieszeczkę cukru. Położyły mnie, otuliły. Leżałam. A myślicie, że mi było coś? Jutro poszłam do pracy z powrotem. Nic mi nie było. Potym jeszcze dostałam taki ropień od łopaty - tutaj całą rękę miałam obolałą przez ten ropień. Aha, i jeszcze miałam jeden wypadek. Ten pan Wysocki był w brygadzie płotników, takiej stolarskiej brygadzie. Tam brygadziorem był złodziej. Nie dawali uczciwych ludzi, złodziej dawali. I ten pan Wysocki zrobił mi taczkę. Bo bardzo ważne było jakim sprzętem się pracowało. I ta taczka była taka lekka, że ja na niej mogłam wozić więcej a o połowę łatwiej mi było. I raptem ich brygadzierek nie podobało się, że ja mam tę taczkę. Kazał zabrać ode mnie ją. Że jemu ona się przyda dla jego ludzi. Przysłał człowieka po nią. A ja mu mówię:" Słuchaj, ja tej taczki nie oddam, bo ja tu pracuję już od paru tygodni na niej i to jest mój sprzęt." A każdy tam pilnował swojego sprzętu. "Ale nasz brygadzierek kazał od ciebie ją zabrać". "Ale ja ci jej nie oddam. On do mnie nic nie ma. Ja nie z jego brygady." Poszedł. Za chwilę przychodzi i mówi:"Kazał. Bo jak nie - to będzie le". "Nie oddam". mówię. Nie chodziło mi już o tę taczkę, ale właśnie o honor, o kobie-

Zosia: /od/. cość. Dlaczego w ten sposób na każdym kroku upokarzają kobietę. Oni silniejsi, to mogą zawsze tę kobietę zniszczyć. Mówię: "Nie oddam". Poszedł. Oni nła daleko od nas pracowali. Pan Wysocki słyszał to wszystko. Przychodzi sam ten brygadziar. "Dlaczego nie oddałaś teczki, jak kazałem?" A ja: "Acóż ty mi jwsteś? W swojej brygadzie pan, a ja mam swoją brygadziarkę. I do ciebie ja nic nie mam i teczki nie oddam". I on zaczął mnie wyzywać, uderzył mnie i teczkę zabiera. O, to już mi wystarczyło. Żeby na mnie rękę ktoś podniósł, taki jak on!. I było tak: ściągam jedną rękawiczkę i palę mu w pysk z jednej strony, z drugiej strony. A on z siekierą w ręku stoi. To bandyta, a straszny bandyta. Jego się wszyscy bali, cały obóz. A ja nawet o tym nie wiedziałam, bo nie znałam go. A on biały jak płótno się zrobił i powiada: "Widzisz tę siekierę? Zabiję cię tą siekierą". Ja mówię: "Wiem, że ty mnie zabijesz, ale jak będę mogła, to ci oczy wydrapię". Tak mówię do niego. I nic mi nie zrobił. Zostawił teczkę mnie i poszedł. A pan Wysocki stał za nim z siekierą w ręku. Ja wzběłam tę teczkę. A był tam taki zakos, taki nasyp. Siadłam tam i zaczęłam płakać. Mnie chodziło nie o teczkę. Jabym mu ją oddała i wszystko, co miałam, ale mnie chodziło o ambicję, o honor. Dlaczego tak więzien więźnia prześladuje? Prawda? Więc siedzę i płaczę. A tam taka ukraïnka była ale polskiego pochodzenia, nauczycielka. Objęła mnie, ucałowała i mówi: "Pani Zosiu, niech Pani nie płacze. Oni i tak nie rozumieją tego." Ja mówię: "Ot, jakoś mnie nerwy poniosły.". Przyszedł pan Wysocki i powiada: "Dziecko, nie płacz, Dobrześ postąpiła. Widzisz tę siekierę w ręku?. Gdyby on na ciebie podniósł rękę, to jużby on żywy nie był". I wtedy ja uświadomiłam sobie co ja narobiłam. Całe życie zamarło. Wszyscy to oglądali, inżynierowie, ale nikt nie stanął w obronie kobiety

Tania: Bo się bali błatnego.

Zosia: Tak, błatnego. Nikt. Ja sama musiałam stanąć w swojej obronie. I zaczyna się prześladowanie mnie. I pana Wysockiego. Wieczorem już nie dają mu chleba, jemu należnego. To pan Wysocki go zbeształ i wybił. Okazuje się, że to był człowiek takki do niczego, jak to mówią "miełocznyj". On był tylko w języku mocny a był się każdego. I okazało się, że nie jest wcale mocny, ale mnie zaczął prześladować. Tam, jak człowiek trochę popracował, to musiał iść do ogniska ogrzać się trochę. Ja rano zostawiłam sobie kawałeczek chleba żeby w czasie pracy go zjeść. Położyłam go sobie pod buszkat na piersi, ale wiadomo, że jak się prychodziło, to był to kawał lodu. Więc chciałam go trochę

Zosia: /cđ/. zagrzać na ogniu, to on mnie do ognia nie dopuścił. I ja Jaży dzień marzła.. Już mnie obrzydło to. Siedzę chwilę przy ognisku, on przychdzi i wypędza mnie. Bo tak, jak on przychodzik, to ja odchodzikam. A w tym czasie ja tak patrzę na niego i pytam, ale bardzo grzecznie: "Skażycie, pożakusta, wy mężczyzna?" On patrzy na mnie. A ja jeszcze raz: "Wy mężczyzna jesteście?" A on zabrał się i poszedł. Na jutro rano mówi: "Zdrowstwuście, pani Zosia". Pani Zosia, może wydhleba potrzebujecie? Pani Zosia, może wam coś trzeba, to ja chętnie pomogę." On! Ale obiecał, że tutaj to on mi nic nie zrobi, ale jak pojedziemy w etap, to on mnie zabije. Ja mu tylko to powiedziała: "Czy wypęczyzną jesteście?" On zrozumiał, że mi okropną krzywdę zrobił. Ten złodziej, ten bandyta był jednak człowiekiem. Tylko on był wychowany w takim kraju, gdzie było wszystko na nic. Tu dopiero znalazł siebie ten człowiek. To był 47 łag. Straszna nędza, wszy, pluskwy. Pluskwy, które nie dawały nam zasnąć w nocy. Ja byłam szczególnie uczulona na nie. Ze wszystkich ścian schodziła na mnie. Okrywałam się mokrym prześcieradłem i na podłodze spałam i na tej ziemi. Tak strasznych warunków, jak tam - to nigdzie nie miałam.

Tania: Jak to się nazywało?

Zosia: EPOK-stroj, koło Kotłas. Tam było nas dużo. Byli Węgrzy, Polacy, Litwini, Ukraińcy. Innych narodowości tam nie było. Tylko z tych terenów właśnie. W nocy 48 roku w sierpniu zbiórka wszystkich Polaków. I pytają: "Polki jest?" Nas Polek nie dużo było. Kilka tylko. Trzymałyśmy się paczką. Idą, idą - a mnie nie wyzywają. Widzę przychodzą, żegnają się, idą na etap. A wszyscy mówią: "Do Polski wyjeżdżamy, do Polski". A mnie niema. Przybiegają ci panowie, chłopcy, co ze mną sztamę trzymali. Bo ja właściwie byłam najdzielniejsza. Ale i Jadzia Rybkowska i jeszcze parę innych było takich fajnych. 8 chyba. Trzymałyśmy się wszystkie razem całą paczką. Ale to ja im jakoś pomagałam, gdzie mogłam: czy to kartofle kopać, czy co innego. Sama nie głodna, to im zanosłam. Zrobiłam sweter - dostałam zupy. To wszystko dawałam panom, żeby się dzielili. Bo oni byli strasznie biedni i stale głodni. Kobiety sobie lepiej radziły. I: "Zośki niema. Ona chyba nie Polka." "Co? Nie Polka?" Enie w ten sposób obratają. Ja już zaczynam płakać, bo dziewczęta mówią, że ja nie Polka. Bo mnie nie wzywają. Pytają gdzie mam rodzinę. Mówię, że siedzą. "A matka?" Mówię, że w Polsce. "Ach, w Polsce!" No, to tego, kto ~~nie~~ nie miał rodziny w Polsce nie chcieli wysłać tam. Więc jednyk ja też. Wyjeżdżamy. Wtenczas wywieśli nas do Wo-

Zosia: /cd/. Łogdy. Na pieresylny punkt w Wołogdzie. Tam zaczęli nas trochę lepiej karmić. Tam spotkałam panię Zofię Swider, nie, Swida. Nie nasza, nie. To taka pani z Wilna. Czyrująca kobieta. To anioł - taka dobra kobieta. Wzięła mnie do siebie, przytulika. Potym ona wyjechała. Gdy byliśmy tam razem, to mówiła: "Będę się za ciebie modliła zawsze, dziecko". I zabrali ją na etap. A myśmy siedziały tam. I raptem zabierają nas. I gdzie nas zabierają? Żeby darmo nie karmić. Do fabryki wołżaków. I tam byliśmy przez 3 miesiące. Kierownikiem tej fabryki był więzień, ormianin. Więc przyszedł wybierać do pracy. I - "Polka?" Moje nazwisko. Tak popatrzył na mnie i: "Kto ty jesteś?" "Polka" - mówię. To taki starszy pan był. I szeptem do mnie: "A więcej Polek niema?" Ja mówię: "Jest jeszcze parę". Szeptem: "Podaj ich nazwiska". Więc je napisałam. "Jutro, jak pójdziesz do pracy, to ja do ciebie przyjdę". Poszłam do pracy. Przyszedł. "O, ja muszę wam instrukcję przeczytać. Proszę do mnie do gabinetu". To był inżynier, ale to był główny inżynier, który znał dobrze tę fabrykę. I miał o wiele więcej możliwości niż któryś tam z wlnych. To był człowiek potrzebny. Przychodzę do niego a on mówi: "Słuchaj, a czy tam są Polacy mężczyźni? Ale pamiętaj, żeby to byli solidni ludzie, nie złodzieje, żeby pracowali dobrze, to im tu będzie dobrze. Bo jak pójdą do tartaku, to będzie im bardzo ciężko. A tu praca będzie dobra i będą mieli dobry chleb". Więc ja im prędko podaję nazwiska swoich panów niektórych. Zaraz też skontaktowałam się z chłopakami, żeby oni podali nazwiska jeszcze naszych panów. Przyniosłam mu te nazwiska. Wszystkich wziął do siebie. I mówi mi: "Słuchaj, dziewczyno, my ze sobą musimy żyć w zgodzie, bo my jesteśmy w tej samej sytuacji. A Polacy zawsze nam dobrze życzyli. I my im też. Musimy jedni drugim pomagać." I wtenczas przez 3 miesiące tam pracowaliśmy. Aż jednego dnia przyszedł rozkaz. Zabierają nas wszystkich, przywożą do Wołogdy, pakują do wagonów i wiozą do Polski. No, a dalej to wiadomo jak było. Na V pieresylicznym punkcie potrzymani nas nie długo. I prawie li na VI OŁP. Tam było o tyle lepiej, że nie było tych złodziei, bandytów. Byliśmy sami polityczni. Wyżywienie było lepsze.

Tania: To chyby na V OŁP.

Zosia: Na piąty, na piąty. Najpierw pieresyłka, a potym na V-y. nas przesłali. Tam, gdzie byliśmy razem. I tam już zaczęła się codzienna gehenna. Aha, jeszcze zapomniałam w EPOK-stroju co było. To był 48-y rok. Zima, luty. Wyprowadzili nas na rozwód. A nas, kobiety wyprowadzano zawsze albo pierwsze, albo ostatnie. Ustawiano na tym rozwodzie po 5 jak wyprowadzano do pracy. Brama. Byłaś ty w takich obozach? Czy nie?

Zosia: /cć/. Nie byłaś. No, to za drutami. No, obozy takie. Więc kobiety stoją po 5. Przyjmuje je konwoj i pod karabinami prowadzi do pracy. Do lasu, czy do kopalni, czy na drogi. Wszędzie ciężkie fizyczne prace. Albo kamieniołom. Ja osobiście miałam wszędzie bardzo ciężkie prace. Poład siły. I słyszę, że ktoś tam z łyżu: hm, hm, och! - chrzaka, czy jęczy. Więc ja się wycofuję, patrzę a tu kopią człowieka. Kopią leżącego człowieka. A tam fak worek leży. Kopie go tak strasznie, tak strasznie i bije nogami i wymyśla od ostatnich słów. Podchodzę bliżej i poznaję przyjaciela mojego Ojca. Z folwarku człowiek. Bliski przyjaciel. Miał jedną córeczkę. Młodszy był wiekiem od mojego ojca. Miał żonę, którą strasznie kochał, Stasię. A on siedzi w więzieniu i teraz właśnie tak strasznie go biją. Ja jak pantera rzuciłam się. Już nie bałam się niczego. Niechby i mnie razem zabili. "Ach, ty, parazit, ty bandyta, ty taki owaki, ty swołocz". Wtedy leciały mi na usta najgorsze wyrazy. Ja nia mówiłam nigdy czegoś takiego. Tam nigdy nie przeklinałam. Nigdy.

Tania: Polki nie rugały się.

Zosia: Niektóre może tam, ale ja nigdy. A wtedy ze mnie bluzgało tymi słowami, bo wiedziałam, że do niego inne słowa nie dojdą, do tego bandyty. To był pro-rab. I wtenczas mężczyźni zbuntowali się. Przyleciały kobiety, narobiły wrzasku. Taki "motłoch" się zrobił. No, bo już wolni bili nas, to bili. Ale żeby jak tu: więziwn więźnia - to tragedia. On zostawił go. Wzięli go pod ręce, poprowadzili do pracy. Ja mówię mu: "Co ci jest?" A nie, bo ja mówiłam mu per pana "Co panu jest?" Powiada: "Chory jestem. Mnie nikt nie wierzy. Trzymają mnie zamkniętego w karczerze. A ja chory jestem. Jeść nie mogę." A był opuchnięty taki. Mieliśmy tam lekarza, który jak potym okazało się, był inżynierem elektrykiem a pod płaszczkiem lekarza zamaskował się. Wyprowadzili go do pracy, a on nic nie robił, Bo nasi chłopcy za niego pracowali, Po. pracy przyprowadzili tego naszego znajomego z pracy i znowu zamknęli do karczeru. Jutro rano patrzę niema go. Poszli po niego. Ja pytam: "Gdziei Stanisław?" A nie żyje, zmarł." Skończył życie człowiek młody. Córeczka miała 7 lat. Został tam na zawsze. Ale w jaki sposób! Zabił więziwn więźnia. No, a my potym - to był jeszcze jeden epizod tej poniwierki tam.

No, teraz mówię dalej. Więc kiedy nas przywieźli już do

Zosia: /cd/. Tego Min-żagu tam człowiek jakoś odnalazł siebie. Tam były różne niewiasty. Wiadomo, że siedziały polityczne, tylko wiadome paragrafy. Rosjanki - tych było tylko trochę, lekkiego prowadzenia się. Niektóre były bardzo ordynarne.

Jadzia Hop.: I stukaczki.

Zosia: Tak. I stukaczki, donosicielki okropne. Ale stukaczek nie prakowały i wśród Łotyszek, Litwinek. I co to dawało? Nic. A jednak donosiły. Estonki też. A już nie można było tego powiedzieć o tych czarnych: o uzbekkach, gruzinkach. To były bardzo dumne dziewczęta. Były takie drobniutkie, filigranowe. Im było łatwiej żyć, bo otrzymywały z donu paczki. Raz czy dwa razy w miesiącu. To im bardzo pomagało. Były bardziej niezależne. I właściwie my przyjaźniłyśmy się, prawda? One wobec nas były takie serdeczne. No, a tam jak się żyło z dnia na dzień, to jedę drugim pomagały. Nie pamiętam nazwisk tych dziewcząt pokądniowych. Przyjaźniłyśmy się a nie pamiętam ani jednej.

Tania: A imiona?

Zosia: Jedna była ~~Xenia~~. Nadia. Była jedna gruzinka przesłiczna dziewczyna. O takim greckim nosku i o dużych, ciemnych oczach.

Tania: Irocza.

Zosia: Irocza, Ira, Ira, tak, tak. Była Irocza. Byłyśmy razem. No, i czekałyśmy z dnia na dzień. Pamiętam jednego razu przyszła do mnie Tania i mówi: "Wiesz co, Zośka, dosyć już tego życia mamy. Ja już więcej nie mogę wytrzymać. Ani fizycznie ani psychicznie. I do czego my dojdziemy? Chodź, zakończymy życie". Ja mówię: "Wiesz, ja tego samego zdania jestem, bo już naprawdę tego wytrzymać nie można. Ja też chciałabym już zamknąć oczy. Ale jak? Na siebie targnąć się? No, jak? Powiesić się? Ale, wiesz, ja - nie. Jestem katoliczką. Jestem wierzącą." A ona mówi: "Wiesz, chodź zamarzniemy. Pójdziemy, powiada, pod barak, usiądziemy. Z początku będzie nam zimno. A potem będzie nawet przyjemnie. Zamarzniemy. I będzie jak we śnie." I to bą już chyba już 50-ty rok. Nie pamiętam dokładnie. A taki dobry człowiek była ta Stasia, Tania inaczej. Taki przyjaciel. Ona tak podtrzymywała nas i szczególnie te młode, słabe dziewczęta.

Jadzia H.: Ale która Stasia?

Zosia: Stasia Gortyńska. Tak. Ona podtrzymywała dziewczęta takie proste, które dostały się z łapci, te, które nie miały tej podpory duchowej a dostały się za AK. Takie biedne, młode dziewczęta. Ja też z nimi trzymałam kontakt. Jedna do drugiej przychodzi-

Zosia: /cá/. Łyśmy nieraz. I Stasia /Tania/ mówi: "Zosiu, wiesz tam to trzeba zrobić, a tam tanto". No, cóż, ona moralnie bardzo podtrzymywała nas. Ja pracowałam w pralni. Przez 7 lat tam pracowałam. I widziałam, że te dziewczęta były stale głodne. Więc ja oddawałam wszystkie swoje siły, aby poprać za kawałek chleba, czy za niskę kaszy. A było nas, nie pamiętam ile takich, co nie miały pomocy. 17 czy 18. Niektóre dostawały paczki. I tak: Ty dostaniesz ćwierć kaszę. Przyjdiesz i zjesz. Inna znowu kawałek chleba. Ja przyłam tym wolniaczkom też. Nie wolno było. Ale jak przychodziły te z obsługi wolnych, to przynosiły do prania. Ja im przyłam a one czy to cukru, czy kawałek chleba w zamian. Jednej dałam pierścionek. Miałam schowany złoty pierścionek. Ja nie miałam żadnego kontaktu z rodziną. Dałam jej ten pierścionek i ona mi przynosiła listy. To właśnie ta Krysia.

Tania: Ona była podła.

Zosia: Podła do ostatniej kropli, ale listy mi przynosiła i przez nią miałam kontakt z siostrami. A potem i z brata żoną.

I tak pomagałyśmy tym dziewczętom, podtrzymywałyśmy je jakoś.

Hanka S.: Czy znała Pani matkę i córkę Kierzeniową?

Zosia: Właśnie. Chcę też opowiedzieć jeszcze o nich też. Więc wtedy, gdy tak myślałyśmy o zamrożnięciu. Ja już zęcynym trochę chaotycznie opowiadać. Trochę zmęczona jestem. Ale już dobiegam do końca. Więc kiedy chciałyśmy umrzeć, to potem ja mówię: "Staszka, a może to już długo nie będzie trwało? może nam Pan Bóg dopomóż? może jakoś wyjdziemy z tego? Tutaj jest czyściec, to potem po śmierci jeszcze męczyć się? Bo przecież nas spotyka jakaś kara za to samobójstwo. Daj spokój, żyjemy dłużej." No, i tak dobiłyśmy do końca. A potem przywieźli z Crodng 2 osoby. Matkę i córkę. Córka miała 18 lat. Te panie były ze wsi.

Hanka: Jak nazwisko?

Zosia: Już nie pamiętam. Matce Zofia było na imię, a córka była Lodzia, Leokadia.

/To były pani Kierzeniowa z córką/

Były z nami, a potem zabranp je od nas. A było tak: wychodzi kiedyś ta pani na spacer koło baraku, a patrzy na wyłce stoi z karabinem w ręku jej syn, pilnuje jej. On woła: "Mamo!" Ona patrzy, a to jej syn. A on dalej: "Mamo, siedź cicho". Ale chyba się dowiedzieli, bo jego bardzo szybko zabrali stamtąd. Jak też nie posadzili. No, i tak cigreło się dalej. Gdzie kogo rzucili, tam pracował. Potem po śmierci Stalina w 53 roku Nic, w 52 roku Halina została zabita. W 53 roku w lipcu ja

Zosia: /cd/. wyszkem. A Stalin zmarł w marcu 53-go. Tak, Halina została zabita w 52-im roku.

Tania: To nie przy mnie. Zwolniono mnie, koniec wyroku, w 53-m roku.

Zosia: A ja w 53-m roku zostałam wywieziona na podkomandirowacznuju, na lesopowak. Możliwe, że w 53-m roku, bo ja tam jesienią pojechałam na zinę do lasu, na ścinę drzewa. Potrzebna były drzewa do obozu. A ja w pralni pracowałam, I wtedy przybiega do mnie Halina. Ja wstałam, bo w nocnej zmianie pracowałam. A ona rano przybiega do mnie i mówi: "Zosiu, idę do pracy, a dostacam jabłuszko. Zaniesz Natalce, - ona miała tam dziecko - niech ona to zje, to jabłuszko. Jak będziesz miała czas, to wyjdź z nią na spacer. A ja mogłam, zawsze mogłam wejść do baraku daleci. Bo czy to po bieliznę szłam, czy tam po coś. I mówię: "Dobrze". A ona jeszcze mówi: "Wiesz, miałam taki sen straszny dzisiaj. Ogromny dół, taki brudny i do tego dołu ja wpadałam. Zaczęła mnie glina zasypywać. I ja w tym dole topiłam się." Więc ja mówię: "Halinko, przeżegnaj się i nie myśl nic. Sen mara, Bóg wiara" - mówię do niej. Ona wychodzi taka przygnębiona i mówi: "Wczoraj Natka, ta mała, była taka niedobra. Tak mnie gryzła." I poszła. Ja zasnęłam. Godzina była 11, może 12-a. Przybiegają Rosjanki: "Zosiu, ^{pani} Zosiu, wstawajcie". Inne tam nazywali "Pani Zosia". "Wstawajcie, bo Halę zabiją przywieśli". Właśnie tę matkę Natałki. Zrywam się. "Co się stało?" Okazuje się, że wieczorem przyszły tam dziewczęta i kopaki ziemniaki. Bo tam jednak w lecie sadzono ziemniaki. I ona kopała w ostatnim rzędzie. Rzędy były wyrzuczone i jemu się zdawało, że ona wyszła poza granicę. Woła do niej, ona odwróciła się do niego. A on bez niczego strzela w nią. Strzelił jej tutaj, w żołądek. Potym myśmy ubierały ją. I z tyłu cała rana wydartą taka. Bo to były kule bum, bum czy dum, dum. Nie wiem jak się te kule nazywają. Rozszarpała ją całą. Biedulka. Miała jeszcze w ręku liść kapusty. Liść kapusty gdzieś zdobyła. Bo to się jadło surową kapustę jeśli gdzieś się dostało, albo i surowe ziemniaki się jadło przeciwko szkorbutowi. Jeszcze miała to 8 garści, trzymała do ostatka. A ja przy jej zwłokach dałam słowo, że zaopiekuję się nią, że będę jej matką. I Stacha też, jak dowiedziała się, to też postanowiła. Więc myśmy ubrały ją. Naczelnik OLP-a mnie wezwał i mówi, że wiedzą, że myśmy się przyjaźniły, że tutaj ja mam jakieś słowo, że bym się zajęła trumną, że do mastierskiej, tej stolarni na "pójść", że stolarze to wszystko robią. Ubranie jakie potrzebne, to

Zosia: /cd/. to wszystko się zakatwi. On wtedy tak po ludzku postąpił z tym pogrzebem. Myśmy to wszystko zrobiły, przygotowały, a oni zabrali ją od nas i wywieźli, pochowali. ~~Nam~~ Nam nie wolno było z nią jechać. Mężczyźni, więźniowie musieli wykopać dół i zasypać ją. Mój Boże. A Nata, jakby wiedziała. Ja przyszkam do niej wieczorem a ona pyta: "Ciocia, a gdzie moja mama Hala?" Bo to dziecko nie umiało po ludzku mówić. Ja jej mówię, że "niema". "Ale ja chcę wiedzieć". Mówię: "Niema, dziecko, mama poszła do Bozi". A ona znowu mówi: "Ciocia, posmotri kakaja krasiwaja żuna. To moja mama tam sidit?". Tak mówiła. I ja tak dzień w dzień jak wychodziła z pracy, to chodziłam z nią na spacer. Ja miałam przepustkę. Bo nich, do dzieci tylko przez druty wchodził się. Tam warta siedziała. I siedziała jedna z więźniarek jako dniewalna. Więc tak codziennie do niej chodziła i chodziłyśmy na spacer. Ona mnie potem nazywała mama Zosia. I wszyscy mnie tak nazywali: "O, mama Zosia przyszła". Ona często o mamie Hali mówiła. I raz tak spacerujemy - a ja tam nikogo nie znałam w tej zonie. Pracowałam wewnątrz obozu, to tam nikogo nie znałam. Dziewczeta tam też spacerowały i kobiety. W pewnej chwili ona powiada: "Dziadzia, ja was tak nie lublu". A to blisko drutów było. A on: "Ach, ty, pacanka, a po czemu ty nas nie lubisz?" "A, bo wy ubili moju mamu Halu". Ktoś jej powiedział, pokazać musiał. Bo ja jej tego nigdy nie mówiłam. I czułam taki straszny ból, tak mi serce bókało. Przytulikałam ją do siebie i zaczęła płakać. I ona przeżywała. Cały czas wspominała mamę Galę. I ona nienawidziła wszystkie kobiety. Jeszcze do mnie najwięcej lgnęła. I bez przerwy "mama Gala", "mama Gala". Halinę tam nazywali Gala. Nie długo gdzieś po półroczu zabrali ją stamtąd. Ale ja ~~xxx~~ dostałam jej adres. Pisałam do niej. Wszyscy myśleli, że to ja jestem jej matką, tam w tym Domu Dziecka. A potem zabrali wszystkie dzieci od nas do Domu Dziecka. Ja, kiedy już zgrabiłam oieniądze, to ~~ka~~ każdego miesiąca wysyłałam jej pieniądze, żeby jej tam coś kupili. I ona - to znaczy w jej imieniu ktoś tam pisał. Potem ona sama zaczęła pisać. Spotkałam się z jej ojcem. Ale ojciec taki jakiś. Ożenił się drugi raz. Pozwolił żeby ja adoptowałam dziecko. Bo on miał swoje 2 dzieci z tantą kobietą. I ja zaczęłam robić starania. Adam - ~~xxxxxx~~ - zgodził się, żebyśmy adoptowali to dziecko. Lecz mnie nie pozwolili, bo powiedzieli, że ja nie mam prawa jako "niebłagonadzioznaja". Swoje dzieci mogą wychowywać, ale nie mam prawa wychowywać inne dziecko. Pozbawiona jestem praw obywatelski

Zosia: /cd/. I tak już było do końca w tym obozie. Tyle tylko, że więźniów więźnia szanował. Byłyśmy tam wszystkie polityczne dziewczęta. No, i miałam kontakt, pisałam listy.

Hanka Siemianowska: A to była Poka, ta Halina?

Zosia: Polka, Polka. Córka inżyniera ze Lwowa. Pracowała. Była telegrafistką. I ją złapali przy tym. I za to została skazana. I w roku 47 czy 48-ym, pamiętasz? Jak organizowali ucieczkę z obozu. Zdjęcia były.

Jadzia Hoppen: To było w 47-ym roku.

Zosia: W 47-ym. Oni to wszystko przygotowali. Ona nie była na tym obozie a gdzieś w innym. A ucieczka była gdzieś w Workucie. Oni przygotowali a ona była w to wtajemniczona. Ona dużo wiedziała spraw takich, których nie powinna była wiedzieć. I prawdopodobnie, jest przypuszczenie, że ona musiała być usunięta. Ten człowiek dostał rozkaz, żeby ją usunąć. Tak mówili na Północy. Ona znana była dziewczyna. My pisałyśmy listy i przerzucaliśmy, gdy przychodziłyśmy do pracy. I mężczyźni też pisali i przerzucali nam. Taki był z nimi kontakt. Kiedy wyszłam na tę wolność, pisałam do Natałki bez przerwy. Kiedy przyjechaliliśmy do Polski, od razu skontaktowałam się z jej babcią. Mama Haliny mieszkała w Gliwicach. Przyjechała ze Lwowa do Gliwic. Tam zamieszkała.

Tania: Ta babcia wyszła zamąż za inżyniera górnika.

Zosia: Za inżyniera górnika. Ale też Lwówianina. Ja jeszcze, będąc w obozie dostałam jej adres od Haliny. I potem już w Polsce miałam z nią spotkanie. Opowiedziałam gdzie jest dziecko, jak ma się starać o nie. Więc podała sprawę do sądu. Podałam jej te osoby, które znały to wszystko. Więc: mąż, ja, jeszcze ktoś. Już nie pamiętam dzisiaj, bo to tak dawno było, dwadzieścia kilka lat temu. Sprawa była w sądzie i jednak to dziecko jej oddali. Przywieźli małą w 56-ym roku. Babcia przyjechała po nią do Medyki. A tam przywiozła ją wychowawczyni tantego Domu dziecka. Oddaje jej to dziecko. Wsiadają do pociągu - ja nie mogę, znowu płaczę, bo widziałam tam Galę, bo wiem jak ona kochała to dziecko swoje. A babcia miała jedyną córkę, więcej nie miała dzieci. Matka Gali. Siada to dziecko do pociągu, tuli się do babci i powiada: "Babuszka, ja was tak lubię". To były jej pierwsze słowa. Przytuliła się do niej i zaczęła bardzo płakać. I tutaj była. Potem zrobiła maturę. Ale babcia zmarła w marcu albo w kwietniu. Bardzo zdolną dziewczyną. Maturę miała w maju.